



Leah Martyn



Pamiętne walentynki

Tytuł oryginału: Always My Valentine
MEDICAL-166

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Czyj to żart? - Przełożona pielęgniarek Gina Wilde uniosła głowę i pytająco spojrzała na swój zespół z pierwszej zmiany w okręgowym szpitalu w Hopeton.

Młodsze pielęgniarki zachichotały, a Gina jęknęła w duchu. Nie dość, że tegoroczne walentynki wypadają w piątek, czyli dzień bardzo pracowity na pediatrii, to jeszcze ktoś udekorował blat recepcji mnóstwem czekoladowych cukierków.

- A ty oczekujesz przesyłek z kwiatami i czekoladkami, Gino? - zuchwale spytała Krista Logan, drobna pielęgniarka o jasnych włosach.

- Całego mnóstwa - z przekąsem mruknęła Gina, po czym zgarnęła owinięte w czerwoną folię czekoladki i położyła je na papierowej tacy. - A teraz weźmy się do roboty, dobrze? - Zerknęła na raport z nocnej zmiany, ignorując szmer niezadowolenia. - Zabawicie się wieczorem na walentynkowym balu.

- Akurat! - żałośnie odparła Megan Fels. - Nawet nie mam z kim się umówić.

- Przyjdź sama. - Wszystkowiedząca Krista odgarnęła z oczu długą grzywkę. - Kto wie, kogo poznasz. Ty się wybierasz, Gino?

Gina wzniosła oczy ku niebu. Wszystko wskazywało na to, że dziś trudno będzie zapędzić dziewczyny do pracy.

- Jeszcze nie wiem. - Miała zamiar pozostać w domu, ale to była jej sprawa. - Przypominam, że obowiązki czekają. Mamy dzisiaj długą listę wypisów.

Podzieliła zadania i odprowadziła wzrokiem grupę pielęgniarek. Właściwie nie mogła na nie narzekać. Były kompetentne i dobrze się prezentowały w nowych szpitalnych uniformach: granatowych spodniach i białych koszulkach polo.

Dzięki ci, opatrności, za praktyczność tych strojów, pomyślała z krzywym uśmiechem i przypięła do kieszeni koszuli maleńkiego pluszowego misia koala - emblemat oddziału dziecięcego.

Mogła tylko zgadywać, co czekają na dzisiejszym dyżurze. Oby nie obfitował w żadne dramaty. Otworzyła terminarz i stwierdziła, że rozkład zajęć nie wygląda źle, ale po południu, niestety, trzeba iść na jedno z tych nie kończących się zebrań zarządu. Na szczęście w tym tygodniu ma wolny weekend...

- Dzień dobry. Gina. - Do pokoju pielęgniarek wszedł Jack O'Neal, oddziałowy pediatra.

- Cześć, Jack. - Uśmiechnęła się do niego ciepło. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Z izby przyjęć zaraz przywiozą nowego pacjenta. - Oczy lekarza na moment się zwięzły. - To dwuletni Andrew Lynch. Wpadł na deskę rozdzielczą, gdy wioząca go matka musiała nagle przyhamować.

Gina bezwiednie się wzdrygnęła. Kiedy rodzice wreszcie się nauczą, że nie przypięte pasami dziecko może w pewnych okolicznościach zmienić się w pocisk. Nie mówiąc już o łamaniu prawa, jakim jest wożenie na przednim siedzeniu maluchów poniżej ósmego roku życia.

- Odniósł poważne obrażenia?

- Jeszcze nie wiem. Teraz jest na rentgenologii. - Jack wlepił ponury wzrok w okno. - Samantha Greer robi mu tomografię. Niezależnie od wyników, chcę przyjąć dzieciaka na obserwację. Musimy ustalić, czy nie ma krwotoku wewnątrzczaszkowego.

- Matce coś się stało? - Gina zaczęła długopis o wiszący na szyi sznurek. Po twarzy Jacka przemknął cień, a usta na moment się zacisnęły.

- Poza szokiem zupełnie nic. Czyjeś urodziny? - Jack nagle zmienił temat i sięgnął po walentynkową czekoladkę.

Gina z niedowierzaniem pokręciła głową. Ten facet najwyraźniej nie zauważył zdobiących pokój od dwóch dni czerwonych baloników w kształcie serc - okolicznościowego prezentu od oddziałowej rady socjalnej.

- To Dzień św. Walentego, Dzień Zakochanych - odparła z naciskiem.

Jack prychnął kpiąco i wrzucił błyszczący czerwony papierek do kosza.

- Chyba już się nie przejmujesz tymi głupotami?

- Co ma znaczyć to „już”?

Czyżby sądził, że jest na to za stara? Owszem, zbliżała się do trzydziestki, ale co z tego! Gina gniewnie przysunęła plik dokumentów i włączyła komputer.

- Nazwij to, jak chcesz, Jack: porywami serca, miłością, ciepłymi uczuciami, ale właśnie dzięki nim kręci się świat.

Jack milczał przez chwilę.

- Naprawdę tak sądzisz? - spytał w końcu.

- Oczywiście. - Wiedziała, że w jej tonie zabrakło przekonania, ale przecież rozmawiali o Jacku. - Jak widać, w przeciwieństwie do ciebie.

Zaśmiał się krótko.

- Nie jestem romantycznym nastolatkiem, Gino. Mam za sobą życiowe doświadczenia.

A ja nie? Gina ze zdumieniem stwierdziła, że jej serce zaczęło bić szybciej, i zmarszczyła brwi.

- Dlatego uznałeś, że miłość nie jest warta zachodu? Jack skrzywił się.

- Wybacz, że cię rozczaruję, siostró, ale nie ma sensu o niej pamiętać.

- To okropne, Jack - stwierdziła, oszołomiona jego cynizmem, i przygryzła wargi. - I co zamierzasz z tym począć?

Przez moment miał zaskoczoną minę, po czym gładko przeszedł do kontrataku.

- Jestem otwarty na twoje sugestie - oświadczył z leniwym uśmiechem i przysiadł na biurku tuż obok niej.

Spojrzała w jego ciemnoniebieskie oczy i jej skupienie zniknęło jak rozwiane przez wiatr liście, a wzdłuż kręgosłupa przeszedł dreszcz podniecenia. Przełknęła ślinę, usiłując go stłumić, lecz dotychczasowa równowaga już została zachwiana. Gina odniosła wrażenie, że powietrze między nią a Jackiem nagle zaiskrzyło. I chyba żadne z nich nie było na to przygotowane.

Sfrustrowana kierunkiem swych myśli, raptownie obróciła się na krześle i z przegródek za plecami wyjęła kilka teczek z kartami pacjentów.

- Upuściłaś jedną. - Jack zręcznym chwytem złapał teczkę. - Proszę. - Gdy wyciągnął rękę, usta lekko mu zadrżały, jakby powstrzymywał się od śmiechu.

- Dzięki - mruknęła Gina.

Jednak to, co czuła, nie miało nic wspólnego z wdzięcznością. Dlaczego, u licha, Jack wciąż tu siedzi? Był w jakimś dziwnym humorze i podejrzliwie na nią patrzył, co sprawiało, że jej puls szalał, a ciało reagowało w niepożądany sposób. Co gorsza, przychodziły jej do głowy całkiem nieodpowiednie myśli.

- Nie masz nic do roboty? - spytała opryskliwie. Na jego wargach znów zaigrał żartobliwy uśmiezek.

- Jak możesz! - jęknął z udawanym wyrzutem. - Właśnie starałem się być taki grzeczny, jak uczyła mnie mama.

Gina z trudem oderwała od niego wzrok. Jack w tym nastroju jest niemożliwy! Tak bardzo ją rozstrajał, że nie wiedziała, co się wokół niej dzieje. Ogarniający ją żar stawał się nie do wytrzymania.

Gdy zadzwonił telefon, chwyciła słuchawkę jak linę ratunkową.

- To Admin - powiedziała mu ruchem ust.

Jack skinął głową i uniósł brwi, niewątpliwie rozbawiony, i wolnym krokiem skierował się w stronę dziecięcej sali zabaw. Gina całkiem wbrew sobie odprowadziła go uważnym spojrzeniem.

Jack O'Neal mógł się podobać. Był wysoki i szczupły, a jego ruchy świadczyły o ukrytej sile. Taki mężczyzna z pewnością wyróżnia się w tłumie.

Skończyła rozmawiać i myślami wróciła do Jacka. Oprócz tego, że jest kawalerem, wiedziała o nim niewiele.

Oboje rozpoczęli pracę na pediatrii tego samego dnia sześć miesięcy temu. Dzieci uwielbiały doktora O'Neala, ponieważ okazywał im wiele sympatii. Jego stosunki z personelem także układały się dobrze. Przyjechał do Hopeton w Nowej Południowej Walii z Sydney, gdzie pracował w wielkim szpitalu połączonym z centrum naukowym.

Co poza tym? Gina z westchnieniem zajęła się dokumentami, lecz jej wyobraźnię nadal zaprzętał Jack O'Neal. Miał ciemne, nieco faliste, zawsze lśniące włosy, a kilka wijących się kosmyków niesfornie opadało mu na czoło. Najczęściej chodził zamyślony, nawet ponury, lecz wystarczyło, aby się uśmiechnął, i jego oczy natychmiast nabierały nadzwyczajnego blasku, kusily i przyciągały...

Niech go licho porwie! Gina energicznie odsunęła stos papierów i pomaszzerowała po filiżankę kawy.

Siedział w swoim gabinecie i bezmyślnie przeglądał jakieś medyczne czasopisma. W końcu z poczuciem klęski rzucił je na biurko. Wziąwszy pod uwagę, ile zrozumiał z tej lektury, mógłby równie dobrze patrzeć na tekst odwrócony do góry nogami. Wszystko dlatego, że jego myśli zdominowała Gina Wilde. Co mu się stało? Zaklął pod nosem. Od dawna pracowali razem i często się widywali, lecz do tej pory nigdy nie czuł tego co dziś.

Pożądanie, które tak nieoczekiwanie go ogarnęło, wstrząsnęło nim do głębi. Odniósł wrażenie, że nagle ujrzał nie Ginę, energiczną przełożoną pielęgniarek, lecz kogoś zupełnie innego. Niesamowicie seksowną kobietę.

Usiadł wygodniej i zapatrzył się w sufit ale wydawało mu się, że widzi na nim Ginę: jej błyszczące, kruczoczarne włosy, śliczną twarz z małym noskiem oraz smukłą szyję. No i te oczy, w których mógłby zatonać...

- Jack? - Gina zajrzała do jego pokoju i cofnęła się, zdumiona jego rozanieloną miną. - Przepraszam, drzwi były otwarte...

- W porządku. - Głos Jacka zabrzmiał trochę szorstko. - O co chodzi?

- Chyba chciałbyś to zobaczyć.

- Tomogram małego Andrew? - Spojrzał na nią pytająco, trochę marszcząc brwi, lecz jego twarz już nic nie wyrażała.

- Tak. - Podeszła bliżej, choć każdy krok był tak trudny, jakby brnęła po kostki w piasku. - Chłopiec już jest u nas. Megan się nim zajmuje. - Położyła kopertę na biurku.

- Świetnie. - Jack wyjął pierwszą kliszę i umieścił ją na podświetlanym ekranie. - To wygląda całkiem dobrze - mruknął na wpuł do siebie. - Muszę porozmawiać z matką.

- Nie ma jej. - Gina schyliła się i nad ramieniem Jacka popatrzyła na zdjęcie.

- Nie ma? - Jack tak raptownie się odwrócił, że ledwie zdążyła odskoczyć, aby nie zderzyli się głowami. - Gdzie się podziała?

- Podobno musiała spotkać się z szefem.

- Czy ta kobieta nie wie, co jest najważniejsze? - Jack wymruczał epitet pod adresem matki chłopca.

- Claudia Lynch to samotna matka, Jack. Musi pracować, a jej szef przyleciał z Sydney, żeby omówić ważne sprawy.

- I co z tego? - Wyjaśnienie Giny najwyraźniej nie zrobiło na Jacku wrażenia. - Nie mogła mu powiedzieć, że jej synek miał wypadek? - Jack z ponurą miną wsunął w uchwyt kolejne zdjęcie. - To dziecko cierpi tylko dlatego, że jego mamusia zlekceważyła podstawowe zasady bezpieczeństwa dotyczące wożenia samochodem małych dzieci!

Gina pokręciła głową. Nie poznawała Jacka. Zazwyczaj okazywał rodzicom pacjentów autentyczne współczucie.

- Pani Lynch jest wystarczająco zdenerwowana tym, co spotkało Andrew. Nie musisz jeszcze jej dokładać', naskakując na nią.

Jack prychnął.

- Łamiesz mi serce, Gina.

- Niedawno oświadczyłeś, że serce to nie istniejąca kategoria - przypomniała mu cierpko.

Przez moment patrzył na nią w milczeniu, a jego usta leciutko uniosły się w kącikach.

- Bardzo skrytykowałem wasze święto, prawda? Chyba muszę ci to wynagrodzić.

Wzniosła oczy ku niebu, po czym utkwiała wzrok w tyle głowy Jacka.

- Spójrz na to. - Stuknął palcem w ostatnią kliszę. - Jeszcze milimetr i kto wie, co by się stało. Nasz maluszek miał szczęście. - Zdjął kliszę z ekranu.

- Ale chcesz go zostawić na oddziale?

- Tak. Wolę chuchać na zimne i zatrzymać go na dwadzieścia cztery godziny. Zakładam, że matka tu wróci?

- Oczywiście! - Gina prychnęła rozjątrzona. - Po spotkaniu z szefem. Rozmawiałam z nią, Jack. To rozsądna osoba, ale każdemu zdarzają się chwile nieuwagi.

Jack chrząknął, bynajmniej nie przekonany.

- Bardzo się śpieszyła, a niania chłopca mieszka tylko dwie przecznice dalej...

- Więc kochająca mama uznała, że nie warto sadzać go na tylnym siedzeniu i zapinać pasów - dokończył Jack kwaśnym tonem i zacisnął usta.

Skinęła głową i spuściła wzrok. Jej długie rzęsy rzuciły cień na policzki.

Nagle powróciło wspomnienie z dzieciństwa. Jej matka sama wychowywała trzy małe córeczki. Gina musiała tylko przymknąć oczy, by cofnąć się w czasie do tamtych poranków, gdy wszystkie wybiegały z domu.

Pamiętała, że jej i młodszymi siostrami było ciężko, ale matce... Zmagała się z tyloma problemami, lecz zachowywała pogodę ducha i robiła wszystko, co w jej mocy, aby zapewnić córkom jedzenie, ubranie i wykształcenie. Czy w takich okolicznościach ona, Gina, też potrafiłaby pozostać optymistką?

Bezwiednie westchnęła. Miała głęboką nadzieję, że nigdy nie stanie w obliczu takiej życiowej próby...

- Gdzie przed chwilą byłeś? - spytał Jack cicho, patrząc na nią uważnie.

Podерwała głowę i przez chwilę niepewnie wpatrywała się w jego twarz, bardzo męską i nieco zmęczoną. Zauważyła też drobne, zdradzające wiek zmarszczki wokół błękitnych oczu, które dostrzegały wszystko, lecz niczego nie ujawniały.

- Nie chciałbyś tam się znaleźć. - Zaśmiała się niewesoło. Nagle odniosła wrażenie, że obnażyła swą duszę, i umknęła spojrzeniem w bok. - Zamierzasz rzucić okiem na Andre w?

- Tak, chodźmy do niego - powiedział Jack i wyszedł za nią na korytarz.

Chłopczyk leżał spokojnie na dużym łóżku.

- Wszystko w porządku? - Gina spojrzała na Megan, która siedziała przy dziecku i głaskała je po pulchnej rączce.

- Chyba jest trochę nie w sosie. - Megan pośpiesznie wstała, aby zrobić miejsce dla pediatry i siostry przełożonej.

- To zrozumiałe. - Jack uśmiechnął się do praktykantki i usiadł na zwolnionym przez nią krześle. - Zobaczmy, jak się miewasz, mały. - Delikatnie, lecz zręcznie sprawdził odruchy dziecka. - Całkiem dobrze - mruknął na widok odpowiednio reagujących źrenic, po czym schował do kieszeni ołówkową latarkę i zaczął ostrożnie badać palcami brzuszek chłopczyka.

- Doktor O'Neal szuka ewentualnych stwardnień świadczących o krwotoku wewnętrznym - wyjaśniła Gina, ponieważ Megan dopiero rozpoczęła praktykę na oddziale dziecięcym.

- Andrew już zbadano w izbie przyjęć...

- Nasz pediatra zawsze woli osobiście ocenić stan pacjenta. Już dobrze, malutki. - Gina schyliła się, aby uspokoić chłopca, który właśnie zaczął się wiercić.

- Och, doktorze... - Megan zachichotała. - On ma ochotę na pański stetoskop.

- Nie, chyba interesuje go Rupert. - Jack z szerokim uśmiechem odpiął od rurki stetoskopu pluszową małąkę z długim ogonkiem i włożył ją dziecku do rączki. - Andrew, poznaj Ruperta - rzekł uroczystym tonem, patrząc na małe paluszki ściskające miękką zabawkę.

- Na pewno może pan mu ją dać, doktorze? - Megan przygryzła wargi. - Jest tutaj mnóstwo innych maskotek.

- Ale ta małąka przypadła mu do gustu. - Jack pogłaskał malca po jasnej główce i porozumiewawczo mrugnął do dziewczyny. - A ja mam w gabinecie worek pełen klonów Ruperta - dodał wesoło.

Megan znów zachichotała. Pracowała na pediatrii dopiero dwa tygodnie, ale już uwielbiała to miejsce. A Jack O'Neal był fantastyczny! Ciekawe, czy przyjdzie na walentynkowy bal...

- Przepiszę mu środek przeciwbólowy. - Jack sięgnął po długopis. - To łupnięcie w czoło pewnie wywołało piekielny ból głowy. I proszę o badanie neurologiczne co godzinę, siostró. W przypadku stanu stabilnego zmniejszamy częstotliwość do sześciu razy na dobę.

Gina skinęła głową.

- Śliczny chłopczyk, prawda? - Podniosła i zabezpieczyła boki łóżka. - Niewątpliwie dobrze odżywiony i zadbany.

- Uhm.

Zajęty robieniem notatek w karcie, Jack wydał tylko wargi. Nie zamierzał podejmować tematu, ponieważ dobrze wiedział, co Gina sugeruje. Może

rzeczywiście trochę za ostro skrytykował matkę chłopca za jej niedbałość. Może...

- To by było na tyle. - Zawiesił tabliczkę z kartą i schował długopis. - Mam jeszcze kogoś zobaczyć, siostró?

- Prawdę mówiąc, tak. - Gina właśnie kończyła wydawać Megan szczegółowe polecenia. - Mały chyba wkrótce uśnie. - Pogłaskała palcem gładziutki policzek chłopczyka. - Gdybyś musiała zabrać go do łazienki, weź go na ręce. Nie powinien się przewrócić.

- Kto następny? - spytał Jack, idąc z Giną do czteroosobowej sali.

- Jasmine Lee. - Gina wyraźnie spoważniała.

- To ta mała, której usunięto migdałki? - Jack zauważył troskę malującą się na twarzy Giny. - Co z nią? Po południu miała zostać wypisana do domu.

- Nic z tego nie wyszło. - Gina wzruszyła ramionami. - Toni Michaels nie wyraziła zgody. I już skończyła dyżur.

- Ach, tak. - Jack zacisnął usta. Odbywająca szpitalną praktykę młoda lekarka powinna była poinformować go o swoich zastrzeżeniach. - Dlaczego nikt mnie nie wezwał?

- O ile dobrze pamiętam, musiałeś być w izbie przyjęć, a nawet ty nie potrafisz się rozdwoić - odparła sucho.

- Fakt - przyznał gładko i posłał jej kwaśny uśmiech. - Żaden ze mnie superman. Zresztą, pewnie chodzi o jakieś głupstwo.

Wchodząc jako pierwsza do pokoju, Gina znów poczuła wzdłuż kręgosłupa znajomy dreszczyk. Zupełnie jakby ktoś musnął ją palcami. Doznanie było rozkoszne. Oszałamiające.

Przełknęła ślinę, by zwalczyć nagłą suchość w gardle, i podała Jackowi notatki na temat stanu małej Jasmine.

Dziecko miało podwyższoną temperaturę. Samo w sobie nie stanowiło to problemu, lecz mogło być wstępnym objawem czegoś poważniejszego.

- Na razie damy jej panadol w płynie, żeby obniżyć gorączkę. - Jack przebiegł wzrokiem pozostałe zapiski i oddał je Ginie. - A teraz sprawdzimy, co ci dolega, Jassie.

Uśmiechnął się do poważnej trzyletniej dziewczynki i zaczął przemawiać łagodnie, aby dodać jej otuchy.

- Chyba nie ma powodów do obaw - stwierdził po dokładnym badaniu - ale trzeba wykonać analizę krwi oraz posiew. Wyniki tych badań powinny rozwiązać wszelkie wątpliwości.

- Pani Lee pije właśnie kawę w poczekalni dla rodziców. Pewnie chciałyby zamienić z tobą parę słów - zasugerowała Gina.

- Żaden problem. - Jack zerknął na zegarek. - Później jadę do szpitala Mercy na konsultację u Dereka Chalmersa. To może trochę potrwać, ale gdybyś mnie potrzebowała, zadzwoń.

Po odejściu Jacka Gina wzięła głęboki oddech, by uspokoić szaleńczo bijące serce. Przeczesała palcami wycieniowane włosy i westchnęła. Co się z nią dzieje? Czuła się tak, jakby cały jej uporządkowany świat nagle zatrzęsł się w posadach, stanął na głowie i już nie wrócił do dotychczasowej równowagi.

Przyczyną tego stanu rzeczy był Jack O'Neal. A lekarstwem na niego? Niestety, nie wiedziała co.

Miała za sobą tylko jeden poważny romans - z George'em Cominosem. Na myśl o nim jej usta skrzywiły się w cynicznym uśmiechu. George odbywał wówczas praktykę lekarską, a ona za kilka tygodni kończyła kurs pielęgniarstwa.

Wydawało się, że są szczęśliwi, lecz George wkrótce otrzymał propozycję pracy w renomowanej prywatnej klinice i pośpiesznie wyjechał.

Gina nie знаła się na mężczyznach i nadal mu ufała. Po otrzymaniu dyplomu zaproponowała George'owi, że spróbuje znaleźć sobie posadę w tej samej miejscowości, aby być z nim. Gorzko się rozczarowała. Zakłopotanie George'a było aż nadto wymowne. Nie zważając na uczucia Giny, chciał definitywnie zakończyć ich związek.

Wspominając tamte przykre przeżycia, Gina nagle doznała olśnienia. Chyba nigdy naprawdę nie kochała George'a.

Po prostu za wszelką cenę pragnęła wypełnić swoją samotność czyimś przywiązaniem. Tak bardzo jej na tym zależało, że nawet nie pomyślała, czy rzeczywiście łączy ich coś poważnego.

Teraz z dezaprobatą potrząsnęła głową. Co za sens tak rozpamiętywać minione lata? Na oddziale czekają mnóstwo obowiązków, powinna więc wziąć się do roboty. A przy najbliższej okazji zastanowić się, dlaczego dziwne zachowanie Jacka budzi w niej tyle emocji.

I jakoś ten problem rozwiązać.

ROZDZIAŁ DRUGI

Ktoś wkrótce dobierze mi się do skóry! Ten wniosek sprawił, że zaśmiała się ponuro.

Oddziałowy telefon dzwonił bez przerwy, dokumenty leżały prawie nietknięte, a sprawozdanie na zebranie zarządu miało na razie formę lakonicznego konspektu.

Ale były też powody do zadowolenia. Temperatura Jas-mine wyraźnie spadła i Gina liczyła na to, że Jack zgodzi się wypisać dziewczynkę do domu. Wyniki badań i tak miały być znane dopiero za kilka dni, więc w razie potrzeby Jassie mogła wtedy pójść do lekarza w przychodni.

Gina cieszyła się też z innego powodu. Intuicyjnie prawidłowo oceniła matkę małego Andrew. Claudia Lynch okazała się troskliwa i kochająca. Natychmiast po spotkaniu przyjechała do szpitala i właśnie siedziała przy swoim synku.

- Och, siostró... - Na widok Giny zerwała się z przepastnego fotela. - Właśnie się obudził.

- To wspaniale - odparła Gina z uśmiechem i spojrzała na kartę pacjenta. - Jest coraz lepiej, prawda, mój śliczny? Ma pani ochotę wziąć go na ręce?

- Mogę? - spytała z niedowierzaniem kobieta.

- Oczywiście. Chodź, młody człowieku. - Gina zręcznie wyjęła malucha z łóżka i podała go matce.

- Mój szef polecił mi wziąć tyle wolnego, ile potrzebuję.

- Claudia przytuliła policzek do jasnej główki dziecka.

- Wyobrażam sobie, jak wiele to dla pani znaczy. - Gina starannie złożyła dziecięcy kocyk. - Może też pani zostać z synkiem na noc.

- Z radością. - Claudia jeszcze mocniej objęła dziecko.

- Wolno mi się nim zajmować?

- To nawet wskazane. Dzisiaj Andrew powinien poleżeć z powodu tego guza na czole, ale jutro może się trochę rozerwać. Proszę go ponosić po oddziale.

Claudia skinęła głową.

- Będzie mógł coś jeść?

To proste pytanie bardzo Ginę wzruszyło. Spojrzała na małą łapkę ufnie wsuniętą w większą dłoń. Dziecko i matka tworzyli taki cudowny duet. Łączyła ich nierozzerwalna więź.

- Dzisiaj pozostanie na płynnej diecie. - Gina usiłowała zignorować dziwny skurcz w dołku. - A jeśli dobrze prześpi noc, to jutro z samego rana zmodyfikujemy zalecenia.

Claudia przygryzła wargę i spojrzała na pielęgniarkę.

- Dziękuję za wyjaśnienia. Mogłabym z panią omówić... jeszcze inne sprawy?

- Po to tu jesteśmy. - Gina przywołała na usta jeden ze swych szczególnych uśmiechów. Intuicyjnie wyczuwała, że ta młoda mama bardzo potrzebuje staroświeckiej pogawędki od serca. - Później znajdę wolną chwilę.

Chociaż Bóg jeden wie, kiedy, pomyślała, maszerując przez salę zabaw. Właśnie była pora na drugie śniadanie.

- Wszystko w porządku? - Przez duże, rozsuwane okno Gina zajrzała do kuchni. Personel pośpiesznie szykował napoje i przekąski dla małych pacjentów.

- Mamy tu dzisiaj prawdziwe zoo - jęknęła Krista. - Ten Aiden Luft to kawał łobuziaka.

- Sprawdza cię, skarbenku - dobrodusznie stwierdziła Brenda Hearn, pielęgniarka w średnim wieku. - Po prostu się nudzi.

- Typowy mężczyzna! - ponuro prychnęła Krista. Wyjęła z lodówki wielki dzbanek z czekoladowym mlekiem i energicznie postawiła go na blacie.

- Co tym razem zmalował?

Gina automatycznie zaczęła nalewać mleko do plastikowych kubeczków. Dwunastoletni Aiden miał mukowiscydozę i przebywał w szpitalu na comiesięcznych badaniach.

Krista obrzuciła koleżanki rozjątrzonego wzrokiem.

- Schował gdzieś najważniejsze kawałki każdej układanki, czym doprowadził maluchy do szału.

Gina z trudem powstrzymała się od śmiechu. Aiden niewątpliwie jest sfrustrowany i na swój sposób próbuje udowodnić, że jest za duży, by leżeć na oddziale dziecięcym.

- Chyba odrabia lekcje?

- Już nie - odparła Brenda. - Oświadczył pani French, że nie czuje się dobrze. A ona mu darowała. Wiecie, jakie ma miękkie serce.

- Cześć, ludzie! - Do kuchni wszedł Piers Korda, zastępca Giny i jedyny pielęgniarz na oddziale. Chwycił kilka krakersów, a Krista trzepnęła go w rękę.

- Zostaw to! Zona cię głodzi?
- Ostatnio tak. - Pierś skrzywił się żałośnie.
- Jak się miewa Tasha? - Gina uśmiechnęła się do Piersa z sympatią.
- Trochę lepiej. - Popatrzył na nią śmiejącymi się oczami. - Poranne mdłości prawie już jej nie dokuczają. I dzięki za ten pomysł, żebym zaczynał pracę o różnych porach. Okazał się bardzo praktyczny.
- Przychodzicie z Tashą na tańce? - z nadzieją w głosie spytała Krista, należąca do komitetu organizacyjnego.
- Chyba nie bardzo nadajemy się do hulania po parkiecie.
- Pierś potrząsnął głową. - Przykro mi, Kris.
- Pewnie nikt się nie zjawi! - Krista ostentacyjnie westchnęła.
- Co ty pleciesz! - Brenda lekceważąco machnęła ręką.
- Ci z izby przyjęć zawsze są obecni.
- I pożerają wszystkie przekąski, zanim reszta z nas zdąży je zobaczyć - mruknął Pierś z przekąsem.
- Cóż, niektórzy muszą zaraz wracać na dyżur - uczciwie przyznała Brenda. - Lecz mimo to kupują mnóstwo biletów na loterię.
Gina zaśmiała się pod nosem. Pracowała tutaj dopiero sześć miesięcy i nie miała pojęcia, co dzieje się na tym walentynkowym balu, ale sądząc z tego, co usłyszała, bywa udany. W zamyśleniu postukała palcami o blat. Może jednak powinna iść i trochę się rozerwać...
- Gina, właśnie dostarczono te kwiaty dla ciebie. - Oddziałowa recepcjonistka Dianę Lewis podała jej bukiet róż o długich łodygach i pociesznie dygnęła. - Prawdziwa szczęściara z ciebie.
- To dla mnie? - Gina drgnęła zaskoczona. Przed chwilą błędziła myślami tak daleko.
- Czerwone róże... - W sali rozległo się zbiorowe westchnienie.
Zarumieniona po korzonki włosów, Gina przygryzła wargi i bezradnie gapiła się na wspaniałe kwiaty.
- To prawdziwe róże ogrodowe! - zawołała któraś z koleżanek. - Jak bosko pachną!
- Pewnie są z tej nowej kwiaciarni pod arkadami - stwierdziła Brenda. - Jak ona się nazywa? „Smoczki i grzechotki”?
- „Słoneczniki i gardenie” - ze śmiechem poprawiła Krista. - Cudowne, prawda? - Pochyliła się nad blatem i musnęła palcem aksamitny płatek. - Darren dał mi tylko bukiet z supermarketu. - Z nadaśaną miną wydeła usta.

- To i tak dobrze! - prychnęła Dianę. - Ja nie dostałam od Garry'ego nawet głupiego batonika.

Wszyscy znów parsknęli śmiechem, a Gina nadal była oszołomiona prezentem. Nawet nie pamiętała, kiedy ostatnio dostała kwiaty. Na ziemię sprowadził ją szmer głosów i pytanie:

- Kto ci je przysłał, Gina?

- Jest bilecik?

Popatrzyła na zaciekawione twarze i z trudem wzięła się w garść.

- Owszem - oświadczyła pogodnie i sięgnęła po malutką białą kopertę.

Zerknęła na wypisane znajomym charakterem pisma swoje imię i zatkało ją z wrażenia. W co ten Jack się bawi?

- No i? - zapiszczała zniecierpliwiona Krista. - Powiedz, od kogo?

- Od nikogo. - Gina zamrugnęła powiekami i pośpiesznie wsunęła bilecik do kieszeni spodni.

- Psujesz zabawę - burknął ktoś w pobliżu.

Słyszając niemal bicie swojego serca, Gina rozejrzała się wokół zakłopotana.

- Może znajdę jakiś wazon i wstawię je do wody? - Obok niej zmateriałizował się Pierś. Jego piwne oczy spoglądały na nią ciepło.

- Zrobiłbyś to, Pierś? Dzięki.

Prawie rzuciła róże w jego ramiona i umknęła. Dopiero w bezpiecznym odosobnieniu swojego gabinetu przeczytała bilecik. „Zapraszam na lunch w parku. O dwunastej. Będę w pobliżu kapliczki”.

Cóż za arogant! Gina przygryzła dolną wargę. Nawet nie raczył się podpisać. Chociaż niby dlaczego miałby to zrobić? Wiedział, że przełożona pielęgniarek dobrze zna jego charakter pisma. Codziennie odcyfrowywała je wiele razy.

Szybkość, z jaką zadziałał Jack, wprawiła ją w popłoch i jednocześnie w nadzwyczajny sposób ożywiła jej ciało. Od lat nie była taka pełna energii jak teraz.

Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Piękny miejski park znajdował się dokładnie naprzeciw szpitala. Często chodziła tam na spacer, toteż dobrze pamiętała urocze miejsce, gdzie miał czekać Jack.

Godzinę później kilka razy odetchnęła głęboko, aby się uspokoić. Południe zbliżało się wielkimi krokami.

Coś takiego.' Stłumiła kpiący śmiech. Można by pomyśleć, że ma dziewiętnaście, a nie dwadzieścia dziewięć lat. W głębi ducha musiała

jednak przyznać, że perspektywa randki z Jackiem jest dziwnie onieśmielająca. Czuła się jak uczennica, która po raz pierwszy umówiła się z chłopakiem.

A Jack? Dokończyła ostami akapit sprawozdania i sprawdziła, czy nie ma błędów. Cóż, Jack prawdopodobnie chce się trochę rozerwać. Ten piknik w parku to jednorazowy wyskok, ponieważ narobiła tyle szumu wokół walentynek.

Prychnęła kpiąco, zła na siebie. Co ją podkusiło, żeby wdać się w tę dyskusję z Jackiem? Należało trzymać buzię na kłódkę i zachować swoje zdanie dla siebie.

- Pogawędziłem sobie z naszym Aidenem - oznajmił Pierś zza jej ramienia. - Jak mężczyzna z mężczyzną.

Odwróciła głowę i zamrugła zaskoczona.

- Och, to dobrze. Chyba go czymś zająłeś?

- Uhm. - Pierś uśmiechnął się szeroko. - Zapędziłem go do składania pieluch.

Wyobrazila sobie Aideną przy tej pracy i zachichotała.

- Ale pozwoliłem mu później pograć w jedną z tych kretyńskich gier komputerowych - żałośnie dodał Pierś. - Coś za coś. W tej chwili w sali zabaw panuje spokój.

- Spisałeś się na medal - przyznała, patrząc na wyrazistą twarz swego zastępcy. Jaki to sympatyczny człowiek, pomyślała. Nic dziwnego, że żona go uwielbia.

- Pierś... - Gina przełknęła ślinę. Teraz lub nigdy. - Chciałabym wyjść dziś na lunch trochę wcześniej. Mógłbyś mieć na wszystko oko?

- Żaden problem - zapewnił pogodnie. - Jakaś randka?

- Och, nie. - Poczwała, że policzki jej płoną, i spuściła wzrok. - Niezupełnie.

- Z ofiarodawcą czerwonych róż? - W oczach Piersa pojawił się ciepły błysk.

- Pewnie cały oddział plotkuje tylko o mnie? - Nie podnosząc głowy, zebrała wydruki sprawozdania.

- Tylko pomyśl o swoim wskaźniku popularności. -

Uśmiech Piersa był zaraźliwy. - Przypuszczalnie jest na niebotycznej wysokości.

Wskaźnik popularności! Niech go licho porwie! Czerwona jak burak, przycisnęła dokumenty do piersi i w myślach wysłała Jacka O'Neala w czwarty wymiar.

- Właściwie chciałem zamienić słówko z naszym pediatrą. - Pierś znów stał się wcieleniem profesjonalizmu. - Jest na oddziale?

- Jack? - Gina odwróciła z zakłopotaniem wzrok. Sytuacja nagle zaczęła się nieco komplikować. - Chyba jeszcze nie wrócił z Mercy.

- Nie szkodzi. - Pierś ruszył do drzwi. - To może poczekać. O, Gina... - Odwrócił się i stuknął palcem w czoło. - Byłbym zapomniał. Kroplówka Breanny Strickland ma czkawkę.

- Trzeba podłączyć igłę w innym miejscu.

- Tak, ale właśnie dzwonił ojciec małej. Wiesz, że tylko on umie skłonić ją do współpracy. Trochę się spóźni, a Breanna podniesie straszny rwetes, jeśli spróbujemy wykonać zabieg bez taty.

- Biedna dziewczynka. Może zaczekajmy na przyjazd pana Stricklanda - zdecydowała Gina. - Na dłuższą metę to nie zrobi różnicy, a lepiej nie denerwować małej niepotrzebnie. Chyba mamy zadanie dla Megan. - Uśmiechnęła się do swego zastępcy. - Niech coś jej poczyta i trochę ją zabawi do przybycia Stricklanda.

- Świetny pomysł. - Pierś położył dłonie na oparciu krzesła. - Wyjaśnię też dziecku, o co chodzi. To bystra dziewczynka jak na swoje pięć lat. Wszystko chwyta w lot.

Gina zerknęła na swoje notatki.

- Antybiotyk najwyraźniej działa. Na początku przyszłego tygodnia chyba ją wypiszemy. Rodzina na długo zapamięta tamten pechowy piknik.

- Całe szczęście, że natychmiast zgłosili się do lekarza. Gdyby natychmiast fachowo nie opatrzonej rany, mogłoby się skończyć dużo gorzej.

Gina spojrzała na zegarek, a Piersowi to wystarczyło.

- Miłego lunchu. - Mrugnął do niej porozumiewawczo. - I nie musisz się śpieszyć. Damy sobie radę.

Obym ja sobie poradziła, jęknęła w duchu, odprowadzając wzrokiem wychodzącego z pokoju kolegę. Znów sprawdziła, która godzina, przeraźliwie świadoma tego, że ściskają w dołku. Nawet pierwszego dnia szkolenia nie była takim kłębkim nerwów jak w tej chwili.

Za dziesięć dwunasta już wiedziała, że nie może dłużej udawać. Została zaproszona na lunch i powinna ładnie wyglądać. Zdecydowanym ruchem wyjęła z szuflady biurka małą kosmetyczkę.

- Tak szybko nic więcej nie da się zrobić - mruknęła do swego odbicia parę minut później. Rozpięła drugi guzik koszulki polo i zaraz znów go zapięła.

Ogarnięta falą nieznanych emocji cicho wymknęła się na korytarz i pośpiesznie ruszyła w stronę schodów. Za nic w świecie nie chciała wpaść w windzie na kogoś znajomego.

Powietrze było czyste i rześkie. Oddychając głęboko, doszła do wniosku, że po kilku godzinach pracy w szpitalu łatwo zapomnieć o istnieniu świata zewnętrznego.

Przebieła drogę i ominęła wielką, opadającą gałąź starego orzecha. Po chwili szybkim krokiem szła ścieżką wysadzaną ambrowcami o dorodnych, ciemnozielonych liściach. O tej porze roku trudno było sobie wyobrazić, że jesienią prawie z dnia na dzień staną się złociste i czerwone.

Gina uniosła głowę i poczuła przyjemny zapach dymu z palonego drewna. Pomyślała, że powinna częściej przychodzić tu podczas przerwy na lunch.

Parkowa kapliczka wraz z półkołem ławek i kamiennym krzyżem znajdowała się na dużej polanie. Gina spostrzegła Jacka i poczuła, że coś w niej topnieje. Siedział z wyprostowanymi nogami, oparty plecami o drewniany stół.

Spojrzał na zbliżającą się Ginę i zważył w swoje zdrowe zmysły. Co też przyszło mu do głowy, żeby dać się ponieść temu walentynkowemu szaleństwu? A co gorsza, chyba nie był gotowy na ewentualne konsekwencje randki z panną Wilde. Niestety, za późno, aby się wycofać. Ona już tu szła.

Zmusił mięśnie twarzy do uśmiechu i wstał.

- Przyszłaś - stwierdził, w duchu przeklinając się za idiotyzm tego powitania.

- A czego się po mnie spodziewałeś, Jack? - Zatrzymała się przed nim trochę zadyszana. - Chyba nie sądziłeś, że zignoruję twoje zaproszenie?

Roześmiał się, nagle zachwycony tą sytuacją. Miał absurdalne wrażenie, że znów jest bardzo młody i pełen nadziei. Nie czuł się tak od lat.

- Liczyłem na twoje towarzystwo.

Ogarnęło ją zakłopotanie. Od dawna z nikim się nie umawiała, toteż stojąc teraz naprzeciw Jacka, czuła się jak żeglarz zagubiony na nieznanym morzu.

- Dziękuję za przepiękne róże...

- Szkoda, że nie widziałem twojej miny, kiedy je dostałaś. - Uśmiechnął się jakby z przymusem.

Spuściła wzrok i jej długie rzęsy nie pozwoliły mu dostrzec onieśmienia w ciemnych oczach.

- Za to wszyscy inni widzieli - mruknęła. - To prowiant na nasz piknik? - Gestem wskazała stojący na stole wiklinowy kosz.

- Tak. - Energicznie rozłożył na blacie papierowy obrus w biało-czerwona kratkę. - Ze sklepu Jamiesonów.

Gina uniosła brwi. Jack najwyraźniej był zwolennikiem tego. co najlepsze.

- Zdumiewające, że poza Sydney można znaleźć takie wytworne delikatesy - stwierdziła, wykładając na stół pojemniki zjedzeniem.

- Są w Hopeton od zawsze. Prawdę mówiąc, w klasie maturalnej pracowałem tam w każdą sobotę.

Spojrzała na niego zdziwiona. Była pewna, że Jack wychował się w wielkim mieście.

- Więc poniekąd wróciłeś do domu?

- Można tak powiedzieć - odparł lekkim tonem. Otworzył karton z sokiem i napełnił dwie szklanki. - O'Nealowie mieszkają w tych stronach od trzech pokoleń.

- I macie starą, rodzinną rezydencję?

Była pod wrażeniem. Z własnego doświadczenia знаła tylko tanie, skromne mieszkania w czynszowych blokach. Jack wzruszył ramionami.

- Dawniej nasza rodzina miała w Wongaree dużą posiadłość. Tysiąc hektarów. Sprzedaliśmy większość gruntów, zostawiając sobie dwadzieścia pięć hektarów wraz z domem.

- To właśnie tam mieszkasz? - spytała trochę oszołomiona.

- Po przejściu na emeryturę rodzice przenieśli się na wybrzeże, więc odkupiłem od nich dom. Nie mogłem znieść myśli, że stracimy go na zawsze. Jestem najstarszy z pięciorga rodzeństwa, ale moi bracia i siostry nie mieli ochoty zaszyć się na prowincji. Tylko Belinda, która pracuje jako stewardessa w „Quantas”, czasem przyjeżdża na stare śmieci, żeby trochę poleniuchować. - Jack zaśmiał się sucho. - Rozgadałem się. Wybacz...

- Nie ma czego. Słuchałam z ciekawością.

- Twój sok. - Jack podał jej szklanekę z matowego szkła. - Na pikniku idealnym powinniśmy chyba pić wino.

- Nie wtedy, gdy jesteśmy na dyżurze. Wyobraź sobie coś takiego: oddziałowy pediatra i siostra przełożona zataczają się na korytarzu.

Spojrzał na jej pochyloną głowę, łagodny zarys policzka, pełne wargi...

- Chyba nigdy nie byłaś w takim stanie.

- Nie - przyznała. - To nie w moim stylu. Mmm... - Szybko zmieniła temat.

- To jedzonko wygląda kusząco. - Spojrzała w jego ciemnoniebieskie oczy. - Głodny?

Głodny? O, tak. I bardzo spragniony towarzystwa cudownej, wyjątkowej kobiety. Właśnie takiej jak Gina Wilde. Odetchnął głęboko i poczuł delikatny zapach jej perfum.

- Gina?

- Tak? - Jej dłoń zawisała nad tekturowymi talerzykami.

- Właściwie nic... - Potrząsnął głową, jakby dzięki temu mogło się w niej rozjaśnić. - Umieram z głodu.

- Ja też. - Przemknęła spojrzeniem po jego twarzy i spuściła wzrok. O Boże, jęknęła bezgłośnie. W tym morzu emocji oboje mogą szybko utonąć. Na myśl o namiętym romansie z Jackiem jej puls nagle oszalał.

Co za nonsens, skarciła się w duchu i energicznie poprawiła kołnierzyk koszulki polo.

- No więc bierzmy się do jedzenia - powiedziała swoim najbardziej stanowczym tonem. - Te apetyczne potrawy czekają.

Lunch okazał się rzeczywiście pyszny. Były chrupiące bułeczki, maleńkie, soczyste pomidorki, wędzony cheddar, cieniutkie płatki szynki i pięknie udekorowana sałatka jarzynowa.

- Jest wyśmienita - stwierdziła Gina, pochłaniając drugą porcję.

- To specjalność Miry Jamieson. - Jack dołożył sobie trochę pikli. - Mira jest Włoszką - wyjaśnił. - A przepis podobno pochodzi z południowych Włoch.

- Stąd oliwki. - Gina przełknęła ostatni kęs i z westchnieniem oparła się plecami o ławkę. - Lunch był fantastyczny. Dzięki. Chyba nie zjem nic przez tydzień - oświadczyła ze śmiechem.

- Musisz już wracać? - Jack zebrał jednorazowe nakrycia i postawił je z boku stołu.

- Jeszcze nie. - Wzruszyła ramionami. - Pierś mnie zastępuje.

- A mnie Phil Carter. - Wyjął z kosza mały termos, odkorkował go i nalał im po kubku parującej, aromatycznej kawy. - Zniesiesz jeszcze parę łyków?

- Postaram się. Pachnie bosko! Pomyślałeś naprawdę o wszystkim. Nie pamiętam, kiedy ostatnio... - Urwała, trochę zakłopotana. - Cóż, rzeczywiście było wspaniale.

- Ja też od dawna nie spędziłem takich miłych chwil - stwierdził i ze zdumieniem skonstatował, że to prawda.

Potem zrobił coś jeszcze bardziej zadziwiającego. Aż do tej pory był stuprocentowo pewny, że żadna siła nie wyciągnie go na bal, ale teraz zmienił zamiar i nieoczekiwanie poprosił Ginę, aby z nim poszła.

- Jeszcze nie zdecydowałam, czy się wybiorę - odparła z wahaniem. - Ale kupiłam cały bloczek losów na loterię.

- Ja kupiłem sześć! - przyznał nieśmiało.

- Chwalipięta! - Gina zabawnie zmarszczyła nosek i wypila łyk kawy. Czula, że serce znów zaczyna jej bić niespokojnie. Gdyby teraz spróbowała wstać i iść, jej nogi prawdopodobnie nawet nie dotknęłyby ziemi. - Ale przecież większość zysków jest przeznaczona na zabawki i wyposażenie oddziału - dodała ze zrozumieniem.

- Dlatego powinniśmy iść - zawyrokował Jack. - Wpadnę po ciebie około dziewiątej. Wcześniej nie zdążę. Wyjdę ze szpitala pewnie dopiero o siódmej, a w domu muszę nakarmić zwierzaki.

- Zwierzaki? - Uniosła brwi. Ile on ich ma. na litość boską? Całe stado? - Jakie? Psy? Koty?

- Skądże! - Jack parsknął śmiechem. - To głównie australijska fauna. W miarę możliwości działałam w towarzystwie ochrony zwierząt. Niektóre zostały pogryzione przez psy i wymagają specjalnej troski, inne są tylko wygłodzone.

- Jesteś niespełnionym weterynarzem?

- Na ten temat pogadamy kiedy indziej. - Jack błysnął w uśmiechu równymi, białymi zębami i leniwie się przeciągnął, a podwinięte do łokci rękawy niebieskiej bluzy podjechały jeszcze wyżej.

Jak zahipnotyzowana patrzyła na opalone przedramiona, przyprószone złotawymi włoskami. W końcu mocno zacisnęła palce na kubku. Boże drogi, co się z nią dzieje? Przecież wielokrotnie miała okazję widywać nagie ręce Jacka. Kilkanaście razy na tydzień szorował je przed chirurgicznymi zabiegami.

Więc dlaczego teraz tak zareagowała? Czyżby nagle się zmieniła? Możliwe, skoro od rana Jack działa na nią w jakiś magiczny sposób.

Ty głupia gąsko, skarciła się w duchu. Pośpiesznie wstała i strzepnęła okruchy z obrusa.

- Chodźcie tutaj, ptaszki! - zawołała, obserwując stadko miejscowych jabiru. Należały do gatunku bocianowatych i miały przeraźliwie cienkie, czerwone nogi. Ptaszyska powoli zaczęły zbliżać się do smakowitych kąsków.

- Cóż za urocza scenka - mruknął Jack, kładąc rękę na ramieniu Giny.

- Te ptaki? - Zaśmiała się niepewnie.

- I ty...

- Och! - Szybko złożyła obrus, świadoma faktu, że nogi ma jak z waty, a ciało ogarnia fala ciepła, wywołana dotknięciem ręki Jacka.

- Słuchaj...

- Nic nie mów. - Odwrócił ją twarzą do siebie i niespodziewanie pocałował.

Obrus wysunął się z palców Giny, a ją samą przeszedł słodki, rozkoszny dreszcz. Czuła na swoich ustach wargi Jacka - łagodne, pytające, czułe. Miały smak cudownego nektaru, a ich pieszczota wydawała się czymś najbardziej naturalnym na świecie. Jack delikatnie głaskał policzek Giny, która odniosła wrażenie, że topnieje. Z wahaniem objęła Jacka w pasie, przesunęła dłonie wyżej, na jego łopatki, a potem jeszcze wyżej. Zatrzymała je na szyi, wplotła palce w wijące się na karku włosy.

Jack przełomie zacisnął dłoń na jej ramieniu, po czym powolutku odsunął się i czule wymówił jej imię.

Zadrzała.

- W porządku? - Musnął ustami jej skroń.

Skinęła głową, pewna tylko tego, że nadal żyje. I że nadal czuje żar jego pocałunku.

W milczeniu zaczęli pakować rzeczy do kosza. Była wstrząśnięta do głębi, całkiem rozstrojona. I co teraz, pomyślała, a jej serce wykonało kolejną woltę.

A czego pragniesz? - wyzywająco spytał cichy głosik w głębi jej duszy.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Słyszałeś? - Gina zmarszczyła brwi.

- Co? - Jack odwrócił się i oboje nadstawili uszu. - Chyba ktoś ma kłopoty. Tam!

Chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę starannie przystrzyżonego żywopłotu. Gina zacisnęła zęby, czując bolesne ukłucie w boku. Nie powinna była pałaszować drugiej porcji sałatki z majonezem!

- Tutaj! - Jack raptownie skręcił i Gina ujrzała młodą kobietę, która potykając się, dźwigała duże dziecko. - Co się stało? - Jack wziął je na ręce i podtrzymał kobietę, ona zaś tylko potrząsnęła głową i bezgłośnie poruszyła wargami. - Co się stało? - powtórzył głośno. - Jestem lekarzem!

- Musimy się dostać do szpitala... - Kobieta podniosła rękę do gardła. - Ona nie może oddychać. To się stało nagle...

- Jack, spójrz. - Gina wskazała czerwony ślad na nagim ramieniu dziecka. Dziewczynka miała na sobie trykotową bluzeczkę bez rękawów.

- Spokojnie, mała. - Jack sprawdził puls na jej szyi. Był ledwie wyczuwalny i należało się pośpieszyć. - Szybko! - Ruszył przez park biegiem.

- Ale... - Młoda matka z resztkami latawca w dłoni trochę nieprzytomnie rozejrzała się wokoło.

- Chodźmy do szpitala - uspokoiła ją Gina. - Pani córeczkę chyba użądliła pszczoła. - Gina skierowała kobietę ku wąskiemu przejściu w żywopłocie. - Dziecko zapewne ma alergię na jad.

- O Boże...

Szloch matki przyprawił Ginę o bolesny skurcz serca.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła.

- Co zrobią lekarze? - Kobieta bezwiednie zacisnęła palce na ramieniu Giny.

- Podadzą jej adrenalinę. - Gina w biegu chwyciła ze stołu kosz. - Podziiała bardzo szybko i zwalczy jad w organizmie pani córki.

- Ale nie będą musieli wykonywać tej... - Kobieta gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca.

- Miejmy nadzieję, że tracheotomia nie będzie jednak konieczna.

- A jeśli sytuacja się powtórzy?

- Obecnie są dostępne zastrzyki odczulające. - Gina przeprowadziła kobietę przez jezdnię. - Doktor O'Neal stwierdzi, czy nadają się dla pani dziecka.

- Biedna Katie - jęknęła młoda matka. - To mój wolny dzień. Zabawa w parku miała być atrakcją.

- Skąd mogła pani wiedzieć? - Gina starała się ją uspokoić. - Na szczęście szpital jest blisko. Proszę tu poczekać. - Wprowadziła kobietę do holu izby przyjęć. - Dowiem się, co z Katie. - Waśnie zauważyła dyżurującą Cassie Gordon, starszą pielęgniarkę.

- Szukasz wilka, Czerwony Kapturku? - Cassie powitała koleżankę szerokim uśmiechem i wskazała kosz, którego rączkę Gina nadal ścisnęła w dłoni.

- Bardzo śmieszne. - Gina wzruszyła ramionami i wstawiła zdradliwy kosz za blat. - Szukam Jacka O'Neala.

- To właściwie to samo - zażartowała Cassie. - Wielki i wygłodzony. - Cassie spoważniała. - Właśnie wróciłam z lunchu, ale chyba widziałam naszego doktora znikającego w czwórcę. Co się dzieje?

- Dziecko z podejrzeniem reakcji alergicznej. Przypuszczalnie na jad pszczeli.

- Biedactwo. Czy to matka dziecka? - Cassie wskazała głową w stronę wejścia.

- Tak. Mała ma na imię Katie.

- Zajmę się mamą - pogodnie obiecała Cassie. - Aha, jeszcze jedno.

- Tak?

- Ładny duet.

- Słucham?

- Ty i Jack.

Gina stłumiła jęk i zrezygnowana machnęła ręką, święcie przekonana, że dzięki szpitalnej poczcie pantoflowej Ginę Wilde i Jacka O'Neala już uznano za parę.

- Jak się czuje? - spytała przyciszonym głosem, wchodząc do czwórki.

- Reaguje prawidłowo. - Jack trzymał przy buzi dziecka maskę tlenową.

Gina skinęła głową. Personel izby przyjęć działał naprawdę szybko. Katie leżała już podłączona do kroplówki i zwalczające jad lekarstwo powolutku wsączało się do organizmu.

- Jak to dobrze, że oboje wtedy byliście w parku. - Pielęgniarka Mary Duffy posłała Ginie ciepły uśmiech. - Gdyby nie wy, skutki mogłyby być fatalne.

- To prawda. - Gina spojrzała na opuchnięte usta i powieki półprzytomnego dziecka.

- Jakie są twoje zalecenia, Jack? - spytała Mary, czekając, aby je zanotować.

Jack potarł dłonią brodę.

- Chciałbym przyjąć ją na czterdziestoośmiogodzinną obserwację. - Spojrzał na Ginę. - Przenieśmy ją jak najszybciej.

- Dobrze. Zaraz się tym zajmę i dopilnuję, żeby jej matka usiadła i napiła się herbaty.

Idąc na oddział. Gina zerknęła na zegarek i westchnęła. Miała wrażenie, że od wyjścia do parku minęły wieki, a w rzeczywistości dopiero skończyła się przerwa na lunch.

Poleciała Brendzie przygotować łóżko dla Katie i poszła do swego gabinetu. Przez chwilę siedziała przy biurku, pogrążona w myślach, po czym wyjęła z szuflady puderniczkę i spojrzała w lusterko. Niby czego usiłujesz się dopatrzeć, mruknęła zirytowana. Śladów, że ktoś cię pocałował? Prawdę mówiąc, są widoczne, przyznała niechętnie. Jej usta wydawały się pełniejsze, bardziej miękkie...

Odetchnęła głęboko i podniosła słuchawkę dzwoniącego telefonu.

- Cześć, to ja - odezwała się Cassie. - Wasza pacjentka właśnie do was jedzie.

- Dzięki, Cass. - Gina pośpiesznie schowała puderniczkę, ponieważ ktoś zapukał do drzwi.

Do pokoju zajrzał Piers. Gina gestem zaprosiła go do środka, nie przerywając rozmowy.

- Przy naszym stoliku są dwa wolne miejsca... - Cassie zawiesiła głos. - Jesteś zainteresowana?

- Czy ja wiem... - Gina przełknęła ślinę. - Usiądź - powiedziała do swego zastępcy.

- Bo Jack jest... - dodała Cassie konspiracyjnym szeptem.

Gina poczuła, że się rumieni. Mają napisane na czole, że byli na randce, czy co? Zauważyła błysk domysłu w oczach Piersa i zgrzytnęła zębami.

- A więc zgoda, Cass - oświadczyła względnie obojętnym tonem. - Do zobaczenia wieczorem.

- Idziesz na bal? - Pierś oparł dłonie na biurku.
- Chyba tak. - Wzruszyła ramionami.
- Nie wydajesz się szczególnie tym przejęta.
- Nagle poczułam się... jak na widelcu. - Machinalnie zaczęła układać papiery na blacie. - Jack mnie zaprosił -przyznała i znów ścisnęło ją w dołku.
- To było tylko kwestią czasu, Gino. - Pierś najwyraźniej się ucieszył. - Tworzycie wspañiałą parę.
- Czyżby? - Zaśmiała się nerwowo. - Coś takiego! Usta Piersa uniosły się w kącikach.
- Może będziesz dobrze się bawić.
- Hm... - mruknęła tylko i przywołała na pomoc swój profesjonalizm. - Masz do mnie jakąś sprawę?
- Jeden z lekarzy rodzinnych skierował do nas ośmioletniego chłopca. Prawdopodobnie chodzi o krztusiec.
- Rozumiem, że dziecko nie było szczepione?
- Najwyraźniej nie. - Pierś założył nogę na nogę. - Rodzice nie wierzą w takie rzeczy. Teraz pewnie żałują, że tego nie zrobili.
- To strasznie osłabiająca choroba. - Gina pomyślała o napadach silnego kaszlu i konsekwencjach koklusz.
- I piekielnie zaraźliwa. Brenda obiecała zająć się tym chłopcem, kiedy go przywiozą.
- Doskonale. - Brenda była znana ze swojej serdeczności. - Ale my musimy przygotować izolatkę. - Gina wstała.
- To już zrobione. - Zerwał się z krzesła. - Wiesz co? Możliwe, że nasz młodszy personel nie zetknął się jeszcze z chorym na koklusz.
- Wygłosisz pogadankę? - Gina wyszła za Piersem na korytarz. - Może to tylko pojedynczy przypadek...
- Złudna nadzieja - prychnął. - Nasz wskaźnik szczepień jest dużo niższy od optymalnego.
- O Boże! - Gina potrząsnęła głową.
- Chłopiec długo się będzie męczył - ponuro stwierdził Pierś. - A mógłby tego uniknąć, gdyby rodzice zrobili to, co trzeba.
- Może sądzili, że postępują dobrze.
- Mogłabym zadzwonić do męża? - nieśmiało spytała matka Katie, Jeanette McIntyre, gdy jej córeczkę umieszczono na oddziale.
- Oczywiście - z uśmiechem zapewniła Gina. - Proszę skorzystać z mojego telefonu.

- Don pracuje w fabryce - wyjaśniła Jeanette - więc nie będzie mógł rozmawiać, ale przynajmniej zostawię dla niego wiadomość, żeby oddzwonił tutaj.

- Niech poprosi o połączenie z pediatrią. Ktoś panią znajdzie.

- Nie wiem, jak dziękować pani i doktorowi O'Nealowi. - Jeanette skrzyżowała szczupłe ramiona. - Jest wspaniały, prawda?

- Tak. - Gina zamrugała powiekami, a uważny obserwator dostrzegłby w jej oczach błysk czułości. - Ma bardzo dobre podejście do dzieci. - Gina otworzyła drzwi swego gabinetu. - Proszę dzwonić do męża - powiedziała ożywionym tonem. - I zawołać mnie, kiedy pani skończy. Zorganizujemy herbatę.

Wracając do pokoju pielęgniarek, Gina skrzywiła usta w grymasie dezaprobaty. Musi koniecznie wziąć się w garść. Nie może się rozklejać, ilekroć ktoś wspomni o Jacku!

Weszła do małej salki i natychmiast natknęła się właśnie na niego. Uważnie studiował kartę pacjenta.

- Cześć. - Gina z trudem powstrzymała się, by nie odgarnąć z czoła Jacka niesfornie opadającego kosmyka.

- Cześć - odparł, nie podnosząc głowy. - Co tam z naszym kokluszem?

- Wkrótce przywiozą tego biedaka. Nazywa się William Townsend, syn Johna i Tiffany.

- Rozmawiałem z dyżurnym z izby przyjęć. - Jack z ciepłym uśmiechem oddał kartę oddziałowej recepcjonistce. - Powinniśmy jak najszybciej wypełnić papierki i rozpocząć leczenie chłopca. - Spojrzał na Ginę oszałamiająco błękitnymi oczami. - Zdażyłaś się zorientować, czy personel jest szczepiony?

- Pierś się tym zajął. Nam nic nie grozi, ale poleciłam, żeby goście Williama, którzy nie znają stanu swojej odporności, wkładali fartuchy i maski.

- Derek mówił, że u nich w Mercy też mają pacjenta z kokluszem. Należałoby ostro pogonić rodziców za zaniedbywanie podstawowych obowiązków wobec dzieci - burknął Jack. - Jak można tak nie dbać o ich zdrowie!

- Niektórzy rodzice sądzą, że podjęli właściwą decyzję - dyplomatycznie stwierdziła Gina.

Jack prychnął kpiąco.

- A ich biedne dzieci później cierpią z powodu choroby, której dałoby się uniknąć.

- Jack... - Gina dotknęła jego ramienia. - Chyba idą Townsendowie.

Od strony windy zbliżało się kilka osób. Salowy pchał wózek z dzieckiem, a tuż za nim szli jego rodzice. Obok Giny natychmiast pojawił się Piers, a Brenda wysunęła się do przodu, by zająć się chłopcem.

Jack popatrzył na twarze jego rodziców i trochę się zasepił. Ich miny nie wróżyły nic dobrego.

- Państwo Townsend? - Wyciągnął rękę, aby się z nimi przywitać. - Jestem Jack O'Neal, pediatra.

- Nie mamy ochoty na wasze kazania! - Tiffany Townsend zignorowała gest Jacka, a na jej bladych policzkach pojawiły się ceglaste wypieki.

- Tiff... - John Townsend niepewnie otoczył żonę ramieniem i skrzywił się, jakby prosił personel o wybaczenie.

- Nie zamierzamy prawić kazań, pani Townsend. Chcemy tylko zapewnić Williamowi dobre warunki, aby go wyleczyć.

- Tamten internista potraktował nas jak śmieci. - Blando-niebieskie oczy matki wypełniły się łzami.

Jack zacisnął usta i odwrócił się do Giny.

- Siostro, musimy zapoznać się z historią stanu zdrowia pacjenta.

Gina poleciła swojemu zastępcy zająć się rodzicami. Wiedziała, że może liczyć na jego wiedzę i takt. Chodziło przecież o to, aby jeszcze bardziej nie zniechęcili się do służby zdrowia.

- Zechcą państwo pójść z panem Kordą, dobrze? - Obdarzyła rodziców chłopca szczególnie ciepłym uśmiechem. - Wkrótce będą państwo mogli zobaczyć się z Williamem.

Jack mruczał coś niepoehlebnego, odprowadzając Townsendów wzrokiem, gdy szli za Piersem. Pani Townsend co chwilę podnosiła do oczu wielką chustkę do nosa, którą podał jej mąż.

- Czemu nagle tak się rozkleiła?

- Pewnie dręczy ją poczucie winy. - Gina z westchnieniem wzruszyła ramionami.

W izolatce Brenda z właściwą sobie serdecznością przygotowała Williama do wstępnego badania.

- Jak się czujesz, chłopie? - Jack w skupieniu osłuchiwał stetoskopem klatkę piersiową małego pacjenta.

- Brzuch mnie boli - szepnął dzieciak. Oparł jasną główkę o poduszkę i zaczął gwałtownie kasłać.

Jack zakończył badanie i z niewesołą miną schował stetoskop do kieszeni.

- Zastosujemy rozpylacz, siostró, i podamy lek rozszerzający oskrzela.

Gina skinęła głową i zaczęła podłączać kroplówkę. Ataki silnego kaszlu na ogół kończyły się wymiotami, prowadząc do szybkiego odwodnienia organizmu.

- Dobra robota - pochwalił Jack. - Weź zwykły roztwór soli fizjologicznej. Niech natychmiast wykonają rentgen klatki piersiowej.

- Jakie leki chcesz mu podać? - Gina odchyliła głowę Wilhama i założyła rozpylacz. - Dalej, skarbie. - Lekko pogłaskała chłopca po włosach. - Oddychaj głęboko. Doskonale, mój drogi.

- Najpierw tetracyklinę. - Jack szybko robił notatki w karcie pacjenta. - Wybierają większość pediatrów.

Do końca dyżuru Gina była bardzo zajęta. Na szczęście zebranie zarządu skończyło się w przewidzianym czasie, a maty William czuł się lepiej. Podobnie jak jego rodzice, pomyślała z kwaśnym uśmiechem. Pierś zdołał wzmocnić ich poczucie wartości. Jak zwykle serdeczny, poczęstował ich herbatą i namówił, by wrócili do domu i porządnie się wyspali.

Gina weszła do pustego pokoju pielęgniarek, naląła sobie kawy i popijając ją, podeszła do okna. Przez szparę obrośniętego bluszczem ogrodowego muru wpadały promienie słońca. W ich blasku ciemnozielone liście lśniły jak srebro.

Jack otworzył drzwi i na widok smukłej sylwetki Giny poczuł, że serce załomotało mu tak, jak nie biło od lat.

- Jak lam kawa? - Przeczesał palcami włosy.

- Taka sobie. - Gina skrzywiła się trochę. - Ale przynajmniej gorąca.

Jack zadrżał z udawanego przerażenia.

- Chyba potraktuję mój organizm litościwie i napiję się wody. - Wyjął z lodówki butelkę mineralnej. - Zamierzam wypisać Aiden. Chcesz mi przekazać dobrą wiadomość?

- Weekendowa zmiana będzie ci dozgonnie wdzięczna. - Gina wylała fusy do zlewu. - Nasz Aiden umie zależeć za skórę,

- Nie ma sensu trzymać go dłużej. Skutki podawania enzymu trzustkowego są zadowalające, a rodzice Aideny są odpowiedzialni i dbają o jego kondycję. - Jack wypił kilka tyków wody. - Biorąc to wszystko pod uwagę, mogę go wysłać do domu.

Aidena zastali w sali zabaw. Wyglądał na śmiertelnie znudzonego,

- Jak leci, chłopie? - Jack przysiadł na fotelu. Aiden tylko wzruszył ramionami.

- Nic ciekawego w telewizji?

- Same nudy dla małych dzieci.

Jack przez chwilę obserwował chłopaka.

- Chciałbyś wrócić do chaty?

- Kiedy? - W oczach nastolatka pojawił się błysk nadziei. - Jutro?

- Co powiesz na dziś?

- Super! - Szczupłą, piegowatą twarz Aidena rozjaśnił uśmiech. - Mogę zadzwonić do mamy, żeby po mnie przyjechała?

- Już jedzie.

- Fantastycznie! - Chłopak zerwał się na równe nogi. - Zbiorę rzeczy...

- Hej! Może podziękujesz siostrze Wilde? Troszczyła się o ciebie, prawda?

- Jasne... - nieśmiało przyznał Aiden. - Dzięki, siostrze.

- Proszę bardzo. - Położyła dłoń na jego ramieniu. - Pomóc ci w pakowaniu?

- Nie, dziękuję. Pierś mi pomoże. Jest super.

- Pierś rzeczywiście umie sobie z nim radzić - z uśmiechem przyznała Gina, gdy wracali na oddział.

- To niełatwe, gdy dwunastolatki są znudzone światem.

- Jack zerknął na piszczący pager i schował go do kieszeni.

- Nadal jesteśmy umówieni na wieczór?

Patrzył na nią uważnie i Ginę ogarnęło zakłopotanie. Czy Jack chce się wycofać? Może żałuje, że ją zaprosił? Ale przecież chodzi raczej o koleżeńskie spotkanie, a nie prawdziwą randkę...

- Cassie już bije w tam-tamy. - Zaśmiała się trochę zażenowana. - Jeśli nie przyjdziemy, wszyscy jeszcze bardziej będą o nas plotkować.

- Dajmy im jakiś powód do plotek - wesoło zasugerował Jack. - Przyjadę po ciebie około dziewiątej.

Jej serce podskoczyło. Oblizła wargi.

- Masz mój adres?

- Tak. - Wciąż błędził spojrzeniem po jej twarzy. - Odwiozłem cię podczas tamtej burzy przed Bożym Narodzeniem, pamiętasz?

Właściwie nie ma czego pamiętać, pomyślała. Jack zatrzymał się wówczas przed jej domem tylko na moment.

- Moje mieszkanie jest z tyłu, od strony ogrodu - wyjaśniła niczym grzeczna dziewczynka. - Pójdiesz ścieżką wzdłuż budynku i... - Urwała, zawstydzona, ponieważ Jack przyglądał się jej z rozbawioną miną.

- Jestem dużym chłopcem, Gino - powiedział cicho. - Znajdę cię.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Z uśmiechem wyjęła ze skrzynki dwa listy: jeden od matki, a drugi, zaadresowany na maszynie, od siostry, Anne-Maree. Oba były grube i gwarantowały długie chwile miłego czytania.

Przyciskając listy do piersi, przekręciła klucz w zamku i weszła do mieszkania. Bardzo je lubiła, zarówno z powodu wygody, jak i bliskości do pracy. Mogła chodzić do szpitala piechotą.

Oczywiście, nadal miała samochód. Wyprowadzając się z Sydney na prowincję, planowała, że będzie zwiedzać piękne tereny, których nie zna. I rzeczywiście, w dniach wolnych od pracy zdążyła zobaczyć trochę okolicznych atrakcji.

Zdjęła pantofle i poszła wziąć z lodówki coś do picia. Sięgając po sok, uśmiechnęła się do swoich myśli. Gdy już zobaczy wszystkie interesujące miejsca, pozostaną jeszcze hektary Jacka. Może pewnego dnia zaprosi ją do siebie. Może...

Usadowiła się wygodnie w głębokim skórzanym fotelu. Zdumiewające, jak bardzo można się pomylić co do ludzi. Zawsze sądziła, że oddziałowy pediatra mieszka w jakimś kawalerskim apartamencie.

Nagle spoważniała. Nie powinna myśleć o Jacku. Z westchnieniem zamknęła oczy, świadoma, że nie potrafi. Całkiem wbrew sobie nadal czuła ciepło jego warg - w sercu, w duszy i na ustach.

Oszałamiająca czar tego pocałunku ożywił prawie zapomniane uczucia, które odłożyła na bok, zajęta sprawami młodszych sióstr. Matka pracowała całymi dniami, toteż Gina starała się wspierać Anne-Maree i Vanesse. Obie jej potrzebowały, ona zaś służyła im zawsze radą i pomocą. W ubiegłym roku zorganizowała ich wesela i na obu wystąpiła w roli druhny.

„Teraz twoja kolej, Gina!” - ze śmiechem zawołał ktoś z gości, gdy całkiem niechcący złapała rzucony przez Anne-Maree ślubny bukiet.

Skrzywiła się, odetchnęła głęboko i skupiła uwagę na długim liście od matki.

Podlała ostatni doniczkowy kwiatek na ogrodzonym ganku i postawiła konewkę na półce. Lubiła długie, letnie wieczory, zwłaszcza tę porę, gdy różowozłociste słońce powoli chowało się za horyzontem. Powietrze stawało się wtedy chłodniejsze, bardziej rześkie, a niknący w mroku świat wydawał się bardziej tajemniczy.

Nagle uświadomiła sobie, że ma niewiele czasu, by przygotować się do wyjścia. Ale przecież właśnie tego chciała, prawda? Wolała nie zastanawiać się, co będzie. Dopiero teraz, wracając do pokoju, poczuła wzdłuż kręgosłupa dreszczyk podniecenia.

Weszła pod prysznic i namydliła się ulubionym żelem, z przyjemnością wdychając jego delikatny, kwiatowy zapach. Następnie umyła włosy, wmasowała w nie odżywkę i obficie spłukała. Owinięta wielkim, puszystym ręcznikiem pomaszerowała do sypialni.

Trochę niepewną ręką przerzuciła bieliznę w szufladzie komody. Dzisiejsza okazja wydawała się odpowiednia do włożenia czegoś atłasowego i najładniejszego. Nie z myślą, żeby ktoś miał to zobaczyć! Gina zaśmiała się kpiąco. Co też przychodzi jej do głowy!

Na szczęście nie musiała martwić się o włosy. Były wspaniale wymodelowane i układały się dokładnie tak, jak trzeba. Wystarczyło tylko podczas suszenia podkreślić je na okrągłej szczotce. Gina zrobiła to z łatwością i po namyśle zsunęła kilka loczków na czoło.

Jeszcze sukienka. Odsunęła drzwi garderoby i zajrzała do środka. Dziś mogła wybrać tylko jeden strój.

Rozłożyła na łóżku czerwoną jedwabną kreację, którą kupiła na ślub Anne-Maree. Przekrzywiła na bok głowę, w zamyśleniu stukając palcem w podbródek, a w jej ciemnych oczach pojawił się swawolny błysk.

Jack powiedział, że powinni dać wszystkim jakiś powód do plotek. Nie miała nic przeciwko temu.

Parę minut przed dziewiątą była gotowa - przynajmniej do pewnego stopnia. Przygryzając wargi, przesunęła dłonią po biodrze, wpatrzona w swoje odbicie w lustrze.

Czy nie za wiele pokazuje? Musiała przyznać, że wygląda równie kusząco jak na weselu siostry. Uszyta z pięknego, matowego jedwabiu sukienka była dość obcisła, o modnej długości prawie do kostek. Góra trzymała się na cieniutkich ramiączkach, a dół miał z boku rozcięcie aż do połowy uda.

Nieco drżącymi palcami zapięła na szyi cieniutki złoty łańcuszek.

Właśnie wtedy zabrzączał dzwonek.

Pomknęła do drzwi. Na widok wysokiej sylwetki Jacka poczuła, że jej puls oszalał. Zupełnie jakby wyczuł, że znów odezwały się zmysły, które prawie przez cały dzień z nimi igrały.

Jack miał na sobie czarne spodnie i czarną koszulę ozdobioną delikatnym srebrnym haftem.

- Wejdz - rzekła półgłosem. - Jestem gotowa.

- Widzę. - Wszedł do holu i obrzucił ją zachwyconym wzrokiem. - Co za suknia! - Gwizdnął cicho.

- Och! - Gina bezwiednie zasłoniła dłonią głęboki dekolt. - Nie jest zbyt...
? Nie byłam pewna...

- Wyglądasz bajecznie. Zaczerwieniła się.

- To tylko ta sukienka - zaprotestowała słabym głosem i pochyliła się, aby włączyć lampę.

Teraz pożałowała, że nie włożyła czarnej wieczorowej spódnicy i skromnej jedwabnej bluzki.

Jack zauważył grę uczuć na twarzy Giny. Nagle zapragnął chwycić ją w objęcia i całować do utraty tchu. Ledwie zdołał się pohamować. Wepchnął ręce do kieszeni, w porę przypominając sobie o samokontroli.

- Idziemy? - Gina wyprostowała się, trochę oszołomiona tym, co dostrzegła w spojrzeniu Jacka.

- Jasne. - Na moment zacisnął usta i potarł brodę. - Ty pierwsza.

- Dzięki. - Znowu poczuła przyływ podniecenia, gdy otworzył drzwi i wyszedł za nią.

Przy krawężniku stał zaparkowany samochód Jacka, szaroniebieska celica o opływowym kształcie. Bal odbywał się w domu kultury sąsiadującym ze szpitalem, toteż mogli tam dojechać w parę minut. Ginę bardzo to ucieszyło, ponieważ nie musieli po drodze długo rozmawiać.

Zapięła pasy, zastanawiając się, dlaczego Jack milczy. Cóż, wcale nie muszą zostać długo na tym balu. Jack może wkrótce odwieźć ją do domu. A potem niech sobie wraca na tę swoją farmę, nie wiadomo gdzie.

- Zwierzaki nakarmione i napojone? - Wiedziała, że pytanie zabrzmiało drętwie, ale w końcu ktoś musiał coś powiedzieć.

- Tak. - Jack sprawnie wyjechał z jej uliczki. - Nie mam ich teraz wiele. Jest jedno pogryzione przez psa kangurzątko, które zdrowieje, i dwa wombaty rodem z torby.

- Rodem z torby? Jack, ja jestem miejska dziewczyna.

- Wybacz. Chodzi o to, że znajdowały się w torbach, kiedy matki zginęły potrącone przez pojazdy na drodze. Maluchy należało karmić smoczkiem.

- To trudne? - Czułe serce Giny natychmiast drgnęło.

- Bardzo, a brakuje mi na to czasu. Zwierzaki dopiero za parę miesięcy będą mogły samodzielnie żyć w buszu. - Jack zaparkował auto na szpitalnym parkingu. - Masz ochotę iść na ten bal? - spytał, nagle zmieniając temat.

- Oczywiście - zapewniła sztucznie pogodnym głosem i w duchu jęknęła. Czyżby popełniła błąd?

- Sądząc po muzyce, zabawa się rozkręciła.

- Chyba wynajęli disc jockeya. - Z sali dochodziły dźwięki słodkiej, miłosnej piosenki. Gina spojrzała na Jacka i drgnęła. - Chyba nie będą cały czas grać takich kawałków.

- Ktoś mi dzisiaj mówił, że jest Dzień św. Walentego - przypomniał Jack z przekornym uśmieszkiem i zręcznie odskoczył, gdy spróbowała go trzepnąć. Za karę chwycił ją za rękę i przyciągnął do swego boku.

Poczuła, że ich palce się splatają, a Jack mocniej je przytrzymuje. Jej udo musnęła miękka tkanina jego spodni.

- Jack...

- Tak? - Pogładził palcem wierzch jej dłoni. - Nie lubisz, jak cię dotykam?

Oczywiście, że lubi. Aż za bardzo...

- Hej, wy, zaczekajcie na nas! - Zza rogu wyłoniła się Mary Duffy i jej mąż, Derek Chalmers. - Nie mogłam się doczekać tego balu! - dodała ze śpiwnym, irlandzkim akcentem.

- Biedactwo. - Derek otoczył żonę ramieniem. - Niech się trochę rozerwie. Tak rzadko wychodzi z domu. Au! - zawołał, gdy Mary dała mu łokciem kuksańca, i zgiął się, udając, że ma połamane żebra.

- Sądziliśmy, że to zabawa dla dorosłych! - Jack pokręcił głową, patrząc na Ginę.

Trochę się odprężyła i dała się ponieść nastrojowi, wesoło żartując i przekomarzając się ze znajomymi. Wielką salę wypełniał rozbawiony tłum. A Krista tak się obawiała, że nikt nie przyjdzie! Gina postanowiła pogratulować jej i innym członkom komitetu organizacyjnego. Wszyscy rzeczywiście spisali się na medal.

Zgodnie z obietnicą Cassie przy stole personelu izby przyjęć czekały na Ginę i Jacka dwa miejsca. Idąc do stolika, Gina co chwilę pozdrawiała kogoś uśmiechem i ruchem ręki. Prawie wszyscy, zwłaszcza kobiety, byli bardzo eleganccy, toteż ucieszyła się, że jednak włożyła czerwoną suknię.

- Wyglądasz bosko! - szepnęła Ginie do ucha teatralnym szeptem Cassie, zanim jej narzeczony Brad pociągnął ją na parkiet.

- Widzisz? Też ci to powiedziałem - mruknął Jack. - Napijesz się czegoś?

Zarumieniła się leciutko i położyła na stoliku małą wieczorową torebkę.

- Może trochę szprycera.

- A ty. Mary?

- Tego samego. Dzięki, Jack.

- Pójdę z tobą - zaproponował Derek i obaj mężczyźni udali się do baru.

- Czy ty i Jack... no wiesz? - Mary pytająco zawiesiła głos i z uśmiechem patrzyła na Ginę.

Ona zaś przygryzła wargi. Lubiła Mary, ufała jej i wierzyła w jej rozsądek, ale sama nie miała pojęcia, czy między nią a Jackiem w ogóle coś jest.

- Przyszliśmy tu jako reprezentacja oddziału dziecięcego - odparła oględnie. - I oczywiście przyjaźnimy się - dodała drętwo.

- Jasne. A ja jestem świętym Mikołajem. My z urazowego musimy ćwiczyć spostrzegawczość, więc coś ci powiem: nasz kochany Jack zaleca się do ciebie jak szalony.

Gina poczuła, że na jej policzki wypływa gorący rumieniec. Otworzyła usta, aby przekonać Mary o niedorzeczności tego stwierdzenia, ale nie zdążyła, ponieważ ich towarzysze właśnie przynieśli drinki. Wszyscy znów zaczęli żartować i wznosić toasty.

- W porządku? - Jack oparł ramię o krzesło Giny i musnął czubkami palców jej nagie plecy.

- Oczywiście - skłamała, pochylając się do przodu, aby przerwać ten rozstrajający ją kontakt.

- O Boże! - jęknął Jack. - Chyba wejść pod stół. Zbliża się Krista!

- Odwagi! - Gina zaśmiała się cicho, a obok nich zmaterializowała się jasnowłosa pielęgniarzka.

Cel jej misji był oczywisty.

- Kto kupi losy na loterię? - Pomachała grubym bloczkiem, uśmiechając się czarująco do mężczyzn.

- Ja odpadam, Kris. - Jack uniósł ręce w geście poddania. - Mam ich tyle, że mógłbym nimi wytapetować łazienkę.

- Dobrze, tobie daruję. - Krista zaśmiała się perliście. - A pan, doktorze Chalmers?

- A co można wygrać? I proszę mówić mi po imieniu.

- Chętnie. - Krista obdarzyła go uwodzicielskim spojrzeniem. - Główna nagroda to tydzień dla dwóch osób na Złotym Wybrzeżu, z przelotem włącznie.

Derek cicho gwizdnął i sięgnął po portfel.

- Za coś takiego jestem skłonny zabić.

- Lepiej ostrzegę twoich pacjentów - zażartowała Mary, otaczając go ramieniem.

Gina ze zdumieniem zauważyła przechodzący z ręki do ręki banknot wysokiej wartości.

- Wydać resztę, doktorze... Derek? - Krista zaczęła energicznie odrywać kolejne kupony.

- A ile biletów dostanę za wszystko?

- Sto.

- Więc niech będzie.

- Niesamowite! - Jack pokręcił głową, gdy Krista poszła szukać następnej ofiary. - Ta dziewczyna powinna być bukmacherem.

- Myślałem, że jest - stwierdził Derek z ogłupiałą miną.

- Idiota! - Mary zmierzwiła starannie zaczesane włosy męża. - Chodźmy potańczyć.

- A ty? - Jack odwrócił się do Giny. - Zatańczysz? Spojrzała mu w oczy i leciutko wydeła usta.

- Chyba moglibyśmy trochę poszurać nogami. Powoli wsunął jej za ucho kosmyk ciemnych włosów.

- Podejrzewałbym cię raczej o... mistrzostwo w klasie ślizgu.

Roześmiała się, trochę zakłopotana. Ton tej głupiutkiej rozmowy działał niesłyszanie podniecająco.

- A w czym ty uważasz się za eksperta? - Podparła brodę na zgiętej dłoni.

- Hm... - Udał, że się głęboko zastanawia. - Może we wszystkim? Jako nastolatek wygrałem konkurs tańca dyskotekowego. - Dumnie wypiął pierś.

Gina wzniosła oczy ku niebu i spłoszyła się, gdy Jack zerwał się z krzesła i pociągnął ją za sobą.

- Chyba nie chcesz powtórzyć tamtego wyczynu? - pisnęła. Jack prychnął.

- Nie mamy szans. Grają „Moon River”. Chodź. Nagle znalazła się w jego ramionach. I dalej już było tak

łatwo - łatwo zapomnieć o całym świecie, kołysać się w rytm muzyki, iść tam, gdzie prowadził Jack.

Przymknęła powieki, gdy przytulił jej głowę do swojego ramienia. Czy właśnie tego zawsze jej brakowało? Tego szukała przez całe życie, nawet nie wiedząc, że to naprawdę istnieje?

Odniosła wrażenie, że budzi się ze snu, gdy melodia się skończyła.

- Gina?

Spojrzała na niego lekko oszołomiona, jakby widziała go pierwszy raz. Coś zaczynało ich łączyć - o ile już nie połączyło, tylko jeszcze chyba nie

potrafiła przyznać się do tego. Wzięła głęboki oddech, usiłując zbagatelizować swoje odczucia.

- Niezły z pana tancerz, doktorze O'Neal - oświadczyła lekkim tonem. - I lekarz. I elegant. - Musnęła palcami róg haftowanego kołnierzyka. - Ładna koszula, Jack.

Uśmiechnął się sztucznie i przykrył jej dłoń swoją.

- Belinda przywiozła mi z ostatniej podróży do Rzymu.

- Twoja siostra ma naprawdę wspaniały gust. Lubi pracę stewardessy?

- O, nie, siostrze Wilde - odparł ze śmiechem. - Nie prowokuj mnie do zwierzeń. - Wziął ją za rękę i sprowadził z parkietu. - Teraz zamówimy coś do jedzenia i ty opowiesz mi o sobie.

- Przyniosę kawę. - Jack zebrał nakrycia i wstał. - Nigdzie nie odchodź.

Wcale nie zamierzała mu zniknąć. Zjedli kolację na werandzie, w miejscu ocienionym wielkimi liśćmi złocistej palmy. Gina przez chwilę zastanawiała się, co robią inni, którzy zostali przy stoliku. Pewnie to samo co ona i Jack tutaj...

- Jesteś szybki jak błyskawica - stwierdziła, gdy wrócił. - I nawet przyniosłeś deser.

- To wypiek Brendy. Nie mogłem odmówić. - Postawił na blacie dwa pełne talerzyki.

- Co to?

- Kruchy placek ze śliwkami. - Poda! jej serwetkę. - Wyglądał zbyt kusząco, żeby zrezygnować.

- Zdumiewające, że po dzisiejszym lunchu jeszcze coś mi się zmieściło w żołądku. Ale ten placek rzeczywiście jest apetyczny - przyznała z westchnieniem, nabijając na widelczyk kawałek ciasta.

- Opowiedz mi o swojej rodzinie - poprosił Jack, gdy wolno pili kawę.

Utkwiła wzrok w filiżance, usiłując zyskać na czasie. Ten wieczór był taki uroczy, a słowa Jacka zmąciły jego atmosferę. Ożywiły wspomnienia, które wolałyby zostawić na kiedy indziej.

- Jestem najstarszą z trzech sióstr - powiedziała beznamyślnie. - Anne-Maree jest laborantką, a Vanessa nauczycielką w średniej szkole. Moja matka prowadzi sklep z damską odzieżą.

- A ojciec?

- Odszedł, gdy miałam osiem lat.

- Musiało być wam ciężko.

- Przetrwaliśmy - oświadczyła, patrząc mu prosto w oczy.

- Ale pewnie było trudno.

Spuściła oczy, aby ukryć ich wyraz. Nie miała najmniejszej ochoty na współczucie Jacka.

- Oczywiście, że tak. - Wypiła duży haust kawy. - Zwłaszcza mojej matce. Ale wyciągnęłam z tego konstruktywne wnioski - dodała trochę wbrew sobie. - Nigdy nie dopuszczę, żeby coś podobnego spotkało mnie.

Jack prychnął niemal kpiąco.

- Niby jak sobie to zagwarantujesz, Gino? Żadne małżeństwo nie daje takiej pewności.

- Mówisz, jakbyś coś o tym wiedział.

- Nic nie wiem - odparł, wzruszając ramionami.

- Cóż, moim zdaniem ojciec wcale się nie starał.

Jack przez chwilę milczał, a ciszę mącił tylko ciepły powiew letniej bryzy, szepczący wśród sztywnych liści palm.

- Bywa i tak, że niektórym ludziom trudno dogodzić. Wzięłaś to pod uwagę, Gino?

Nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ właśnie zjawili się Derek i Mary.

- Tutaj się schowaliście! - Mary oparła się o męża, a on objął ją w talii. - Zamierzaliśmy zabrać was na kawę, ale już prawie ją wypiliście.

- Żeby jak najszybciej wrócić na parkiet? - zażartował Derek.

Gina poczuła wilgoć w oczach i zerknęła na zegarek.

- Ja chyba powinnam już iść do domu, Jack. Mam pewne plany na jutro. - Kłamała, ale nie zaszkodzi zasugerować mu, że jest zajęta.

Spojrzał na nią i pośpiesznie wstał, aby odsunąć jej krzesło, lecz ona już zerwała się z miejsca.

Zacisnęła usta, zły na siebie. Najwyraźniej ją zdenerwował, wypytując o sprawy osobiste. Nawet nie wiedział, dlaczego ją indagował. Może usiłował w ten sposób nabrać do siebie dystansu, stłumić poczucie winy, wyleczyć się z frustracji czy co to, u Ucha, jest.

Szybko pożegnali się ze znajomymi.

- Nie róbcie nic, czego my byśmy nie zrobili! - zawołał za nimi Derek.

Gina wewnątrznie się skuliła, słysząc ten banał, i westchnęła. Wieczór zaczął się obiecująco, a teraz Jack miał taką minę, jakby znajdował się daleko stąd. Widocznie niechęć poruszyła jakąś strunę, przypomniała o przykrym emocjonalnym bagażu. Trocheja to zmartwiło.

- Naprawdę nie chciałam wyciągać cię stąd tak wcześnie, Jack.

- Nie wyciągasz. - Musnął dłonią jej ramię i ten przelotny dotyk znów sprawił, że Ginę zalała fala ciepła. - Zaczekaj, zaraz otworzę ci drzwi.

Gdy wsiedli do samochodu, Gina nieoczekiwanie poczuła napięcie.

- Jako impreza zorganizowana w celu zbierania funduszy, ten bal okazał się bardzo udany, prawda? - Jack zapalił silnik i wyjechał z parkingu.

- Owszem. - Z trudem wydobyła z siebie głos. Dojechali na miejsce o wiele za szybko. Gina pośpiesznie odpięła pasy.

- Dzięki za miły wieczór, Jack.

- Nie idź jeszcze. - Przeczesał palcami włosy i oparł się łokciem o kierownicę. Muśnięcie jego rękawa o skórę do reszty zrujnowało spokój Giny. - Chciałbym cię przeprosić.

- Za co?

- Za moje przemądrzałe uwagi.

Z pochyloną głową machinalnie przesunęła palcem po wypukłym zdobieniu wieczorowej torebki.

- Zaskoczyłeś mnie - przyznała. - Stąd moja gorycz.

- Wcale nie byłeś „gorzka” - zapewnił. - A gdyby nawet, to prawdopodobnie masz swoje powody.

Ledwie dostrzegalnie wzruszyła ramionami.

- Dzięki matce zawsze czułam się kochana, Jack. Cóż z tego, że nie wychowywali mnie oboje rodzice? To spotyka wielu ludzi.

- Teraz rozumiem przyczyny sympatii wobec samotnych rodziców, których spotykasz na oddziale.

- Ty też okazujesz im wiele serdeczności.

- Dziś rano nie byłem miły dla pani Lynch. - Pochylił się nieco w jej stronę, a jego oczy w blasku księżycy wydawały się cudownie ciepłe.

Ledwie wytrzymała to spojrzenie, które ożywiało niepożądane emocje.

- Powiesz mi, dlaczego?

Jack rzeczywiście potraktował panią Lynch zbyt surowo. Czyżby jej osoba obudziła w nim przykre skojarzenia?

- Masz rok lub dwa? - Śmiech Jacka zabrzmiał nieco szorstko.

Wysiedli z samochodu i Jack odprowadził ją do domu. Stali na ganku tuż obok siebie, ich sylwetki rzucały na ścianę długie cienie. Gina gorączkowo się zastanawiała, czy powinna zaprosić Jacka do siebie. I na samą myśl o tym poczuła przyśpieszone bicie serca.

- Masz klucz? - cicho spytał Jack, więc położyła na jego wyciągniętej dłoni metalowy przedmiot.

Otworzył drzwi, a oświetlone lampą wewnątrz wydało się im obojgu niezwykle kuszące.

- Wejdiesz? - Prawie nie poznawała swojego głosu: był zdumiewająco niski i wibrujący.

- Chyba nie. - Jack położył dłoń na jej policzku i pogładził go. - Nadal jesteśmy przyjaciółmi?

- Oczywiście. - Jej serce biło ogłuszająco, więc odwróciła się i umknęła do holu. - Dobranoc, Jack. - Pośpiesznie zamknęła drzwi, oparła się o nie plecami i zacisnęła powieki.

Kompletna klęska! To, czego być może oboje pragnęli, skończyło się, zanim zrobili kilka pierwszych kroków. Ich wzajemne zauroczenie zostało skażone, więc już nie mogli iść do przodu, a to, co się wydarzyło, uniemożliwiało powrót do punktu wyjścia.

W jakim więc miejscu znalazła się ich znajomość? Na to pytanie Gina nie знаła odpowiedzi. Sfrustrowana jej brakiem zmyła makijaż, wyczyściła zęby i poszła spać.

Wcześniej rano zbudziło ją jęśliwe buczenie kosiarki. Zakłęła pod nosem i schowała głowę pod poduszkę. O tej porze chętnie udusiłaby sprawcę hałasu.

Parę minut później zrezygnowała z prób ponownego uśnięcia i wskoczyła pod prysznic. Rozgrzana ciepłem spływającej po skórze wody odprężyła się, a jej myśli znów uleciały do Jacka. O Boże, jęknęła, zaciskając palce na ramionach. Gdy wczoraj ją odwiózł, zachowała się jak głupia gęś. Zamiast postąpić jak rozsądna, dorosła kobieta, uciekła niczym spłoszony królik.

Zaśmiała się ponuro; jej głos odbił się echem od wyłożonych kafelkami ścian łazienki. Królik? Nawet on miałby więcej rozumu!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jack napełnił kubek kawą i wyszedł na patio. Wielki szary kocur matki imieniem Misty wylegiwał się na najwygodniejszym fotelu.

- Znajdź sobie inne miejsce - burknął Jack i bezceremonialnie zrzucił kota z jego legowiska.

Misty spojrzał na niego złowrogo i odszedł obrażony, preżąc grzbiet.

- Życie jest brutalne, kiciusiu - skomentował Jack, po czym opadł na miękkie fotele, oparł nogi o drewnianą poręcz i przytulił do piersi kubek z kawą. - Gina...

Z przyjemnością wymówił na głos jej imię. Już samo to działało na niego kojąco.

Wypił łyk kawy i skrzywił się, zły na siebie. Wczoraj wieczorem zachował się jak ostatni krety. W jasnym świetle dnia prawie nie mógł w to uwierzyć. Czy jest aż takim beznadziejnym dinozaurem? Widocznie tak.

Spojrzał ponuro na swoją czarną kawę. Należało wejść, gdy Gina go zaprosiła, pozwolić na naturalny rozwój sytuacji, a nie zaryć się kopytami na ganku jak osioł.

Naprawdę mógł wejść. Czy to byłoby takie trudne? Posłuchaliby muzyki, pogawędziliby... Do licha, czy aby na pewno? Zamknął oczy i poczuł łomotanie serca. W wyobraźni już całował Ginę... Jej powieki, skronie, usta...

Prychnął i wyprostował się. Zżerała go frustracja. Nie był tak spragniony kobiety od... cóż, od czasów Zoe...

Dopił kawę i wstał. Powinien żyć dalej. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że tylko głupiec, i to żaloszny, nadal skupiałby swój gniew na Zoe. Przecież minęły już trzy lata. To stanowczo za długo, aby wciąż się zastanawiać, co mogłoby się zdarzyć.

Zdegustowany sobą Jack podszedł do poręczy tarasu. Z tego miejsca rozciągał się wspaniały widok. Lekko falista równina miała rdzawy kolor, dalej był szarozielony busz, a za nim, na skraju posiadłości, wznosiły się skały z jasnego piaskowca.

Jack wlepił wzrok w piękne, liściaste krzewy rosnące u podnóża skał i ciężko westchnął. Od dawna żył jakby na permanentnym kacu. Powinien wreszcie przebaczyć i zapomnieć. Wiedział, że już wybaczył Zoe. Tylko nie potrafił zapomnieć...

W poniedziałek Gina punktualnie przyszła na dyżur. Nie miała pojęcia, jak przywitać się z Jackiem, ale jedno z nich niewątpliwie musi coś powiedzieć. Zobaczyła jego samochód na parkingu i straciła resztki odwagi.

Poszła prosto do pokoju dla personelu, ale tam zastała tylko pielęgniarki z porannej zmiany oraz kilka kończących nocny dyżur.

- Och, Gina! - radośnie powitała ją Krista. - Bal przyniósł kolosalne dochody.

- Twój komitet spisał się wspaniale. Gratuluję!

- Dzięki. - Krista skromnie wzruszyła ramionami. - Sprawdziło się parę nowych pomysłów, to wszystko. No i loteria, oczywiście.

- Kto wygrał główną nagrodę? - spytała jedna z dziewcząt. - Wyszliśmy przed losowaniem.

- Brad Lomax, narzeczony Cassie Gordon. Świetnie, prawda?

- Pewnie pojedą na tę wycieczkę w ramach podróży poślubnej - stwierdziła Brenda, chowając do szafki torebkę.

- Doktor Chalmers chyba był niepokieszony. Wydał na losy fortunę.

- Jakoś to przeżył. - Krista machnęła dłonią. - Dostał nagrodę pocieszenia: skrzynkę dobrego wina.

- Na co zostaną wydane pieniądze? Mamy zgłaszać propozycje? - Megan pytająco spojrzała na koleżanki.

- Jest tyle możliwości - stwierdziła z przejęciem Krista.

- Moja kuzynka pracuje w dziecięcym szpitalu w Sydney i opowiadała mi, jaką urządzono u nich fantastyczną salę zabaw. Jest w formie plaży, a sufit ma w kształcie fal. - Krista gestem zilustrowała swoje słowa.

Gina osobiście wątpiła, czy w Hopeton byłaby szansa na zrealizowanie takiego fantazyjnego projektu, lecz entuzjastyczna postawa młodego personelu była naprawdę krzepiąca.

- Proponuję, aby każdy się zastanowił. - Gina uśmiechnęła się do koleżanek. - Zrobimy zebranie, wybierzemy najlepsze sugestie i przedstawimy je zarządowi. Zgoda?

Wzięła raport z nocnej zmiany i rozdzieliła zadania. Sama też miała sporo obowiązków, lecz nagle uznała, że mogą trochę poczekać. Najpierw musi porozmawiać z Jackiem. Nie zastanawiając się długo, pomaszerowała do jego gabinetu.

Jack właśnie rozmawiał przez telefon, ale wskazał jej krzesło. Usiadła i mocno splotła dłonie. Po chwili dyskretnie zerknęła na Jacka. Miał na sobie

pognieciony strój chirurga, był nie ogolony i sprawiał wrażenie śmiertelnie zmęczonego.

- Życzysz sobie czegoś ode mnie? - spytał, odłożywszy słuchawkę, i odchylił się na krzesło do tyłu.

- Nic konkretnego. - Gina przecząco potrząsnęła głową i uśmiechnęła się niepewnie. - Chyba jesteś wykończony. Nocne wezwanie?

- Właśnie. - Z filozoficznym spokojem wzruszył ramionami. - Asystowałem Ellisowi Greerowi podczas operacji jedenastoletniego Daniela DeVere'a.

- Coś poważnego?

- Owszem. - Przeciągnął się ze znużeniem. - Chłopak gnał na rowerze i nie zahamował przed przegrodą dla bydła. Wpadł na płot ze stalowej siatki.

- Ach, te dzieciaki! Bywają takie lekkomyślne. Doznał poważnych urazów?

- Tak, i czeka go skomplikowana rehabilitacja. Musieliśmy wstawić płytki i gwoździe w obie nogi. Kości piszczelowe i strzałkowe całkiem zmiażdżone, lewa ręka też uszkodzona. Nadal jest na intensywnej terapii.

- Kiedy przywiozą go do nas? - Gina wiedziała, że po takim zabiegu dziecko zostanie u nich długo i będzie wymagało szczególnej opieki.

- Jeśli nie pojawią się komplikacje... - Jack przez moment patrzył na swoje palce - to pewnie jutro po południu. Zajrzyj do niego, kiedy będziesz mogła. Okaż mu troszkę serca, siostró. - Uśmiechnął się przepraszająco.

- Wpadnę tam w porze lunchu. Rodzice są z nim?

- Tylko matka. Ojciec musiał wracać na farmę, żeby sprawić owcę.

- Uch! - Gina skrzywiła się. - To brzmi obrzydliwie!

- I takie jest. - Jack zaśmiał się i wstał z krzesła. - Cieszę się, że cię widzę, Gino - dodał ciepło i przysiadł na rogu biurka tuż przy niej.

Gwałtownie nabrała powietrza.

- O której skończyłeś zabieg?

- Koło piątej.

- Dlaczego nie pojechałeś do domu? Albo przynajmniej nie uciąłeś sobie drzemki tutaj?

- Postanowiłem wziąć prysznic i poczekać na ciebie. - Patrzył na nią spod w półprzymkniętych powiek i nagle powolutku przesunął palcami po jej uchu. - Miałem beznadziejny weekend.

Dotyk Jacka sprawił, że zadrżała, jakby poraził ją prąd. Doznanie było takie dojmujące, prawie bolesne. Odebrała je całym ciałem i zastygła

oszołomiona, niezdolna się poruszyć ani myśleć. A przecież powinna myśleć, aby wyrazić to, co zamierzała powiedzieć.

- Jack, wracając do piątkowego wieczoru... Zachowałam się jak głupia. Dosłownie zatrzasnęłam ci drzwi przed nosem. ..

- Zapewne na to zasłużyłam. - Z miną człowieka, który wie, co robi, przesunął dłoń na kark Giny. - Chciałem wejść, kiedy mnie zaprosiłaś.

- Naprawdę? - Oparła łokieć o blat i uniosła głowę. - Ale wydawałeś się taki...

- Pełen dystansu? Chyba raczej wyszedłem z wprawy. - Jack zaśmiał się niewesoło. - Znów raczkuję.

- Dlaczego? - Pytanie na moment zawisło w powietrzu.

- Rozwód nigdy nie dodaje pewności siebie.

- Och, Jack... - Zerwała się, a on chwycił ją w ramiona.

Milczała, ponieważ nie mogła wydusić ani słowa, świadoma tylko dudnienia serca Jacka, które czuła przez jego cienką płócienną bluzę.

- To niewiarygodne, Gino. - Odsunął się nieco i zatonął w jej oczach. - Ty i ja. - Ujął w dłoń jej twarz.

Przymknęła powieki i cicho westchnęła, gdy jego wargi spoczęły na jej ustach. Bezpieczny dotąd świat zawirował nagle wokół niej. W tym pocałunku dała z siebie wszystko. Sprowokowana muśnięciem języka zrewanżowała się rym samym, przyłączając się do odwiecznego rytuału zwanego tańcem miłości.

Jack... W myśli powtórzyła jego imię i zacisnęła palce na muskularnych ramionach. Oderwali się od siebie tylko na moment, by złapać oddech, i natychmiast podjęli przepojone słodyczą pieśczęty. Gdy Jack w końcu uniosł głowę, Gina nadal miała zamknięte oczy. Potrzebowała tych kilku sekund na powrót do rzeczywistości.

- Spójrz na mnie. - Głos Jacka zabrzmiał głucho. Spełniła jego prośbę i przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, po czym Jack uniosł jej dłoń do ust. - To dzieje się naprawdę?

Dobry Boże, miała nadzieję, że tak. Wciąż była zadyszana, jakby zmęczona walką z żywiołem, gdy wielka morska fala uniosła ją wysoko, a potem wyrzuciła na brzeg.

- Jack... - Poglądziła jego przedramię i trafiła na zegarek. To ją otrzeźwiło. - Powinnam wracać na oddział...

- Już? - Znów pochylił się nad nią i musnął jej górną wargę. - Kiedy pojedziesz ze mną do mojego domu?

To jest jak sen, pomyślała zachwycona. Oby trwał wiecznie. Pragnęła Jacka, potrzebowała go do życia jak powietrza.

- Może w następny weekend? - szepnęła, wpatrzona w oszłamiającą błękitną głębię jego oczu.

- Dopiero? - mruknął zawiedziony. - Cóż, muszę jakoś przetrwać ten tydzień. - Przytulił ją, po czym niechętnie wypuścił z ramion.

Przy drzwiach odwróciła się i ich oczy jeszcze raz się spotkały, jakby oboje nie chcieli wyjść z kręgu otaczającej ich magii.

- Chyba mógłbym teraz startować w maratonie. - Jack zaśmiał się nieco chropawo.

Może i tak, pomyślała i lekko ścisnęło ją w dołku. Z tymi wzburzonymi włosami, błyszczącymi oczami i chłopięcym uśmiechem Jack wyglądał jak okaz witalności.

- Zdrzemnij się trochę, Jack.

Na korytarzu przystanęła, usiłując zapanować nad buzującymi w niej emocjami. Marzyła o wolnej chwili, by wszystko przemyśleć, ale na razie nie mogła sobie pozwolić na ten luksus. Odetchnęła głęboko i na moment przycisnęła dłonie do rozgrzanych policzków, po czym ruszyła do pokoju pielęgniarek.

Zastała tam Toni Michaels, zastępczynię Jacka, która wyraźnie na nią czekała. Gina trochę się stropiła.

- Cześć, Toni. - Uśmiechnęła się, aby ukryć oszołomienie. - Już biorę się do roboty.

- Nie ma pośpiechu. - Młoda lekarka oparła łokcie o blat. - Weekend się udał?

- Tak sobie. - Gina zaczęła wyjmować z przegródek karty. - Był za duży upał, żeby się ruszać. Ale poszłam na bal walentynkowy. Byłaś tam?

- Nie. - Toni uroczo się zarumieniła. - Umówiłam się na kolację z Philem Carterem.

Oby wiedziała, co robi, pomyślała Gina. W ciągu miesiąca ten miły w obejściu, jasnowłosy lekarz z Kanady zawrócił w głowie całemu żeńskiemu personelowi. A przecież jest żonaty i nawet pokazuje zdjęcia swoich dzieci!

- Phil i jego żona są oficjalnie w separacji - tonem wyjaśnienia dodała Toni. - A jego dwie córeczki przyjechały na weekend. Są takie słodkie. - Zielone oczy Toni rozbłysły. - Było cudownie.

- Bardzo się cieszę - z przekonaniem zapewniła Gina. Dopiero w połowie obchodu przypomniało się jej coś z tej rozmowy i w umyśle zabrzmiał sygnał ostrzegawczy.

Myśl, że Jack może mieć dziecko - lub dzieci - wydawała się dziwnie rozstrajająca.

- Kto następny? - Toni wsunęła za ucho kosmyk złocistorudych włosów.

- Wróciła do nas Sophie Brennan. - Gina z pewnym wysiłkiem skupiła uwagę na sprawach zawodowych i wręczyła lekarce kartę trzynastoletniej astmatyczki. - Jack przyjął ją wczoraj wieczorem.

- Biedny dzieciak. Sądziś, że ojciec dalej przy niej pali?

- Raczej nie. - Obok nich pojawił się Jack. - Dokończę obchód, Toni, więc możesz iść na śniadanie.

- Dzięki, Jack. - Podała mu plik kart. - Zaczęłam dzisiaj bardzo wcześnie.

- Jestem ci za to wdzięczny. Zmykaj. - Machnięciem ręki odprawił koleżankę i spojrzał na Ginę. - W porządku?

- Tak - zapewniła, choć nadal szumiało jej w głowie od tamtego pocałunku. - Myślałam, że pójdziesz się przespać.

- To może poczekać. Poczulem przypływ energii! - Uniósł zabawnie brwi. - Ciekawe dlaczego?

- Cóż... chyba zostawię to pytanie bez odpowiedzi. - Przesunęła spojrzeniem po sylwetce Jacka. Zdążył się ogolić i przebrać w ciemnobezowe spodnie, zieloną koszulę z krótkimi rękawami i solidne buty. Pewnie tak się ubrał, gdy wezwano go w nocy, pomyślała, rumieniąc się lekko. - Chcesz teraz zajrzeć do Sophie?

- Chodźmy.

Dziewczynka siedziała oparta o poduszki i oglądała kreskówki. Słyszając kroki, odwróciła wzrok od ekranu małego telewizora i zrobiła zrezygnowaną minę.

- Sprawdźmy, co z tobą, Sophie. - Jack zaczął osłuchiwać klatkę piersiową i plecy dziewczynki.

- Czuję się lepiej. Mogę wrócić do domu? - spytała z nadzieją w głosie i podniosła wielkie, fiołkowe oczy na lekarza.

- Niestety, nie, skarbie. - Jack pogłaskał ją po ciemnych włosach. - Twój stan musi się ustabilizować.

Sophie westchnęła.

- Tatuś rzucił palenie.

- Wiem i bardzo się cieszę. - Jack przysiadł na brzegu łóżka. - Ale musimy się przekonać, co tym razem spowodowało problemy, prawda?

- Chyba tak. - Sophie wzruszyła szczupłymi ramionami. - Nie cierpię tego wszystkiego! - Jej usta zadrżały.

- Czego?

- Tej kroplówki, rozpylacza, wentolinu. I tego, że każecie mi pić dużo wody, kasłać... - Urwała, a jej oczy wypełniły się łzami.

- Kochanie, rozumiemy, jak ci ciężko. - Gina poprawiła poduszki i wygładziła niebieski koc. - Nie jesteśmy aż tacy wstrętni, prawda? - Pieszczotliwie dotknęła policzka małej pacjentki.

- Nie. - Sophie zaśmiała się i wierzchem dłoni otarła oczy.

- Chyba masz ochotę na lunch. - Jack zerknął na zegarek.

- A może już pora na kolację?

- Jest rano, niemądry panie doktorze! - Sophie posłała mu rozbawione spojrzenie.

- Rzeczywiście. Masz coś do czytania?

- Mama przyniesie mi książki i robótkę na drutach.

- Potrafisz takie rzeczy?

- Oczywiście. Robię szalik w barwach mojego ulubionego zespołu piłkarskiego - uroczystym tonem wyjaśniła dziewczynka.

- Co to za drużyna? - Jack wstał, huśtając w dłoni stetoskop.

- Wojownicy Hopeton! Któż by inny! - Sophie wzniosła oczy ku niebu.

- Racja. - Jack zdołał zachować powagę.

- Długo u nas zostanie? - spytała Gina, gdy oboje wyszli na korytarz. Wyczuła, że Jack intensywnie się nad czymś zastanawia.

- Trudno powiedzieć. - Pokręcił głową. - Musimy przeprowadzić badania. I niech Mark częściej opukuje jej plecy. Ten kaszel powinien być produktywny. Aha, jeszcze jedno.

- Szybko zapisał zalecenia. - Spróbuj wybadać Sophie, czy ostatnio spotkało ją coś nowego.

- Masz na myśli zmianę otoczenia?

- To lub odżywianie. Cokolwiek. Jej astma przecież jest pod kontrolą, a matka dba o dietę córki.

- Już nie jada w szkolnej stołówce, żeby uniknąć konserwantów.

- Wiem. Dlatego ostrożnie ją wypytaj. Może coś odkryjesz. Skoczę teraz do domu nakarmić zwierzaki. - Z uśmiechem podał jej kartę Sophie. - Niedługo wrócę. W razie potrzeby konsultuj się z Philem.

Popatrzyła na niego, gdy czekał na windę, nagle wzruszona widokiem jego barczystych ramion, męskiego profilu. Czyżby już się w nim zakochała?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dopiero tuż przed dwunastą zdołała wyrwać się na oddział intensywnej terapii. Poszła z Megan, podając jej w windzie szczegóły na temat wypadku Daniela.

- To nie będzie miły widok - ostrzegła dziewczynę. - Naszym zadaniem jest przygotowanie chłopca i jego rodziców do długiego pobytu w szpitalu. Chcesz zajmować się tym przypadkiem?

- Jeśli uważasz, że dam sobie radę... - Megan skinęła głową.

- Na pewno - z przekonaniem stwierdziła Gina. - Skończysz szkolenie jako prymuska. Pracujesz bez zarzutu.

Dziewczyna zaczerwieniła się, zadowolona z pochwały.

- Naprawdę lubię zajmować się dziećmi. I chyba mam do tego predyspozycje.

- Jeśli chcesz specjalizować się w pediatrii, to po kursie powinnaś kontynuować naukę w jakimś dużym szpitalu dziecięcym.

- Tak jak ty? - śmiało zapytała Megan.

- Mniej więcej - potwierdziła Gina z lekkim rozbawieniem.

Do pokoju Daniela zaprowadziła je Adrienne Locke, siostra oddziałowa.

- Jego mama właśnie wyszła łyknąć świeżego powietrza.

- Może zrobisz to samo? - zasugerowała Gina. - Posiedzimy tu trochę.

- Wobec tego wyjdę. Daniel na razie nigdzie się nie wybiera. - Adrienne obrzuciła chłopca zatroskanym spojrzeniem.

To aż nadto oczywiste, pomyślała Gina. Biedny dzieciak.

Chłopiec leżał podłączony do kroplówek, miał założone dreny, a obie unieruchomione nogi spoczywały na ortopedycznych poduszkach.

- Cześć, Daniel. - Pochyliła się nad pacjentem. - Jestem Gina. - Musnęła dłonią jego kasztanowe włosy o rudawym połysku. - Za dzień lub dwa przeniesiemy cię na oddział dziecięcy, dobrze?

- Okropność! Muszę tam iść?

Gina i Megan wymieniły porozumiewawcze uśmiechy. Daniel był nadal odurzony podawaną dożylnie morfiną, lecz niewątpliwie miał temperament. Należało przygotować się na zmagania podczas długiej rekonwalescencji.

Wkrótce wróciła siostra oddziałowa, a za nią pani De Vere. Gina pośpiesznie przedstawiła się i wyszła z nią do małego holu.

- Jak się pani czuje? - spytała.

- Jestem oszołomiona. - Marion De Vere bezradnie potrząsnęła głową. - Danny to nasze jedyne dziecko. - Zaciśnęła usta. - Tak chciałabym wziąć na siebie jego cierpienie...

- To zrozumiałe. - Gina położyła dłoń na ręce kobiety. - Ale proszę się nie martwić, postaramy się, żeby ból dokuczał Danielowi jak najmniej. - Przyciszonym głosem wyjaśniła, jaką ważną rolę w rehabilitacji mogą odegrać oboje rodzice. - To czasem będzie trudne - podkreśliła. - W razie jakichkolwiek problemów proszę zwracać się bezpośrednio do mnie.

- Dziękuję, siostrze. Jesteście tacy mili. Nigdy nie sądziłam, że... - Kobieta spojrzała na drzwi pokoju syna, a jej oczy wypełniły się łzami.

- Mąż zdoła dzisiaj przyjechać? - Gina obawiała się, że udęczona matka całkiem opadnie z sił.

- Powiedział, że spróbuje wyrwać się dziś po południu.

- To dobrze. - Gina skinęła głową. - Stan Daniela jest stabilny. Może zdecyduje się pani wrócić wieczorem do domu, żeby się wyspać i rano asystować przy przeniesieniu syna na oddział dziecięcy?

- Już jutro? - Marion De Vere odrzuciła na plecy długie pasmo włosów.

- Tak. Dopilnujemy, żeby synek wkrótce był w lepszym nastroju.

- Ale te wszystkie rzeczy na jego nogach...

- Wiem, wydają się okropne - ze zrozumieniem przyznała Gina. - Ale są rzeczywiście potrzebne.

- Bystry dzieciak - z uśmiechem oświadczyła Megan, jadąc z Giną windą.

- Podyskutowaliśmy sobie, kiedy rozmawiałaś z jego mamą.

- Da nam się we znaki?

- Chyba tak!

Gina spotkała Jacka dopiero nazajutrz, gdy skończył dyżur w przyszpitalnej poradni.

- Mamy kolejny przypadek koklusu - oznajmiła półżywa ze zmęczenia, odsłuchując nagraną wiadomość od rodziców jednego z dzieci. - Jessica Mellis, lat siedem. Phil się nią zajął.

- Cholera! To epidemia czy co?

- Czas pokaże - ze stoickim spokojem stwierdziła Gina.

- Kawy?

- Co? O, dzięki. Wypijesz ze mną?

- Prawdę mówiąc... - Zerknęła na zegarek. - Właśnie mam przerwę i przyniosłam kanapki. Mogę się z tobą podzielić, jeśli chcesz... - Pytająco zawiesiła głos.

Spojrzał na nią z roztargnieniem, a ona poczuła, że się czerwieni. Jeszcze tydzień temu nawet nie marzyłaby o takiej sugestii. Ale sytuacja chyba się zmieniła, prawda?

- Jack?

- Wybacz, błędziłem gdzieś myślami. Tak, oczywiście.

- Jego twarz nagle rozjaśnił uśmiech. - Co powiesz na park?

- Starczy nam odwagi?

- Mój dziadek mawiał, że jak szaleć, to na całego - odparł, wzruszając ramionami. - Po drodze wezmę z bufetu kawę. Spotkamy się przy wejściu do parku.

- Oto deser. - Jack położył obok kanapek i kawy dwa czerwone jabłka.

- Wspaniale. - Gina lekko drżącymi rękami zaczęła szykować zaimprovizowany piknik.

- Taki wypad to rzadka przyjemność, prawda? - powiedział Jack półgłosem, wyciągnął przed siebie nogi i z powodu słońca przymrużył oczy.

- Byliśmy tu w piątek - przypomniała Gina. Starannie przekroiła kanapki i położyła porcję Jacka na papierowej serwetce w niebiesko-białą kratkę.

- Proszę. Są z wołowiną i musztardą. A to rzeżucha, gdybyś wolał coś ostrzejszego.

- Fantastycznie. - Zerknął na nią, odrobinę rozbawiony. - Zaplanowałaś to wszystko, Gino?

- Zgadnij. - Zarumieniła się lekko.

- Przyjmuję wyzwanie. - Błysnął zębami w uśmiechu, który zawsze przyprawiał ją o skurcz w dołku.

Gdy skończyli jeść, z przyjemnością rozejrzała się wokół. Dzień był piękny, a promienie południowego słońca ślizgały się po ciemnozielonych liściach eukaliptusa, które lśniły jak wypolerowane srebro.

Mogłabym tu siedzieć do końca życia, pomyślała. Wsłuchana w kojąco monotonne cykanie cykad obserwowała stadko małych ptaszków uwijających się nad krzakami róż i jaśminu.

Od strony szpitala zbliżały się małe grupki pracowników. Widocznie wszyscy wpadli dziś na pomysł, aby spędzić cenny wolny czas na powietrzu.

- Moglibyśmy porozmawiać o pracy? - Gina wróciła do rzeczywistości, zebrała serwetki i wrzuciła je do kosza.

- Owszem, jeśli z tego powodu zostaniemy tu jeszcze chwilę. - Jack podrzucił jabłko i zręcznie je złapał.

- Nazwijmy to naradą polową...

Wiedziała, że nie powinna tego robić, ale patrzyła na usta Jacka, gdy wbijał zęby w lśniący owoc. Wyglądało to tak zmysłowo, że szybko odwróciła wzrok, ale i tak przeszedł ją miły dreszcz.

- Pogawędziłam z Sophie.

- No i? - Jack uniósł brwi.

- Rzeczywiście przebywała w nowym środowisku. Ze szkolnym zespołem teatralnym pojechała w weekend na biwak. Właśnie pracują nad pierwszym przedstawieniem. Nasza Sophie gra główną rolę.

- Wspaniale? Dokąd się wybrali?

- Na Przełęcz Taylora.

- Znam dobrze ten rejon. - Jack wyrzucił ogryzek. - Są tam domki kempingowe. Często mieszka w nich młodzież szkolna.

- Więc to może być przyczyną obecnych problemów Sophie. - Gina oparła brodę na dłoni i utkwiała w Jacku pytające spojrzenie.

- Masz na myśli roztocza? W kurzu i pościeli? Plus stres związany z próbami, nawet jeśli Sophie je uwielbia?

- Jest jeszcze coś - dodała w zamyśleniu. - Sophie trochę się krępowała, ale w końcu wyznała, że w ubiegłym tygodniu pierwszy raz dostała okres.

- No tak! - Z zadowoleniem pokiwał głową. - Doszły jeszcze szalejące hormony. Biedny dzieciak. Nic dziwnego, że w niedzielę zaczęła rzeźić jak stare skrzypce.

- Rodzice wpadli w popłoch. Chcieli natychmiast przywieźć ją do szpitala.

- A ona jak zwykle się postawiła - stwierdził cierpko. - Jak czuła się dziś rano?

- Doskonale. Podobno przespała noc jak suseł.

- Więc chyba można ją wypisać. - Jack uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Ona trochę mnie martwi. Jest taka chuda.

- Raczej drobnokoścista, Gino. Jak ty.

Poczuła przyływ dławiącej w gardle paniki i niezgrabnie zamknęła plastikowe pudełko na lunch.

- Podobno dużo pływa...

- A jak ty dbasz o kondycję fizyczną?

Czy to pytanie ma jakiś podtekst? Gina zaczerwieniła się i postanowiła nie doszukiwać się w słowach Jacka ukrytego znaczenia.

- Czasem chodzę do siłowni i na basen. Niestety, nie ma w Hopeton klubu, w którym mogłabym uprawiać mój ulubiony sport.

- Czyli co?

- Szermierkę.

- Coś takiego? - Jack wykonał ręką kilka pchnięć w powietrze.

Gina cmoknęła językiem.

- Gdybyś tak ze mną walczył, Jack, już padłbyś trupem. Roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu.

- Co cię tak bawi? - Od razu się zjeżyła. - Szermierka to wspaniała dyscyplina. A ja jestem dobra. Nawet bardzo.

- Nie wątpię - zapewnił bez wahania, patrząc na nią z podziwem. - Poruszasz się z taką gracją, tak lekko. - W zamyśleniu wydał wargi. - Dam głowę, że nikt ci nie dorówna.

Sophie nie było w pokoju.

- Znajdź ją, Gino - polecił Jack. -1 spytaj Ellisa Greera, o której przyjęto Daniela. Muszę wpisać w grafik rozmowę z rodzicami. - Zerknął na brzęczący pager i zmarszczył brwi. - Dzięki za lunch - rzucił przez ramię i wyszedł.

Gina popatrzyła za nim z westchnieniem. Jack znów był całkowicie zaabsorbowany sprawami zawodowymi. Uznała, że powinna wziąć z niego przykład. Poszła poszukać Sophie, niepewna, czy zdoła znieść napięcie, które będzie ją dręczyć aż do weekendu.

Sophie wróciła niemal w podskokach.

- Idę do domu? - spytała radośnie.

- To zależy od doktora O'Neala. - Gina z trudem zachowała powagę. - Ale trzymaj kciuki.

- Wszystko wygląda nieźle, młoda damo - oznajmił Jack po dokładnym zbadaniu Sophie.

- Więc... ? - Popatrzyła na niego z nadzieją.

- Tak. - Uśmiechnął się szeroko. - Zamierzam cię wypisać.

- Och, cudownie!

- Chcesz zadzwonić do mamy? - Gina metodycznie pakowała rzeczy Sophie.

- W tym tygodniu mama uczy. Pojadę do niani.

- Jak zwykle taksówką? - Gina schowała do torby robótkę dziewczynki. - Mam ją wezwać?

- Bardzo proszę - odparła Sophie z wdziękiem gwiazdy zegnającej publiczność.

- I nadal dwa razy dziennie używaj inhalatora - przypomniał Jack.

- Oczywiście. - Sophie przewróciła oczami. - Trzymam go obok szcztoteczki do zębów, tak jak pan mi kazał, więc nie mogę zapomnieć.

- Grzeczna dziewczynka. - Jack musnął palcem czubek jej nosa. - Jeśli nic się nie zdarzy, zobaczymy się na następnym badaniu kontrolnym w poradni.

- Dobrze. - Sophie skrzyżowała ramiona. - Doktorze O'Neal, dziękuję za troskliwość.

- A ja tobie, Sophie, za cierpliwość. - Jack skłonił głowę.

- Jesteś pacjentką idealną. - Podeszedł do drzwi i przystanął.

- A na premierze rzuć widownię na kolana.

- Postaram się. - Subtelną buzię Sophie rozświetlił uroczy uśmiech.

Gina pomachała Sophie na pożegnanie i zaczęła wyjaśniać Megan procedurę przyjęcia Daniela. Zazwyczaj zostawiała takie rzeczy Piersowi, lecz dziś jej zastępca miał wolne. Ostatnio wyglądał na zestresowanego. Widocznie i on płacił wysoką cenę za poranne mdłości Tashy.

- Jak długo nogi chłopca będą unieruchomione szynami, siostrze? - zapytała Megan.

- Od sześciu do ośmiu tygodni. A ty musisz dopilnować, żeby Daniel zachował pogodę ducha. Czeka cię więc niezła harówka.

- To także wyzwanie - spokojnie stwierdziła Megan.

- Owszem. Ortopedyczne łóżko jest już przygotowane, więc można przywieźć Daniela. Zajmie się tym dwóch salowych, Brenda i ja pomożemy podczas jazdy windą, a ty przytrzymasz kroplówkę. Później umieścimy Daniela w pokoju, a doktor O'Neal porozmawia z rodzicami.

- O rany! - jęknęła Megan. - Chyba łatwiej zorganizować wizytę królowej.

Gina przygryzła wargi, aby się nie roześmiać, i wyjaśniła Megan, że opatrunki na miejscach wokół gwoździ należy zmieniać trzy razy dziennie.

- Przemywaj te okolice betadyną, dobrze?

- Przez pierwszy tydzień mycie gąbką w łóżku?

- Tak. - Gina skinęła głową. - Później, korzystając z podnośnika, będzie można zabierać Daniela pod prysznic. Pamiętaj o zasłanianiu nóg folią i tak dalej. Ale przecież to wiesz.

- Chciałabym zrobić wszystko bezbłędnie. - Na szczupłej twarzy Megan pojawił się wyraz determinacji.

- Zawsze możesz liczyć na naszą pomoc - podkreśliła Gina. - Lecz jeśli uda ci się zaprzyjaźnić z Danielem, to jego podejście do rehabilitacji na pewno będzie pozytywne.

Następne dni były wyjątkowo pracowite. Daniel już leżał na oddziale i nie krył frustracji. Mały hultaj z uciechą wyżywał się na dzwonku, co chwilę wzywając pielęgniarki.

W czwartek po południu Gina nagle przypomniała sobie, że następnego dnia jedzie odwiedzić Jacka. Oczywiście, jeśli nic się nie zmieniło. Jack już na ten temat nie wspominał.

Usiadła przy biurku i skrzywiła się, patrząc na plan dyżurów. Cały personel powinien dać z siebie wszystko, ponieważ pacjentów wciąż przybywało.

- Puk, puk! - Zza drzwi wyjrzał Jack.

- Cześć. - Oblizła wargi, nagle zakłopotana.

- Pomyślałem, że najwyższy czas umówić się na jutro. - Wszedł do pokoju i zamknął drzwi. - Jedziesz?

- Jeśli zaproszenie jest nadal aktualne - odparta ze śmiechem.

- Oczywiście. - Przynął sobie krzesło i usiadł obok niej, wyciągając przed siebie nogi. - Boże, nie mogę doczekać się końca tego tygodnia.

- Rzeczywiście, mamy ostatnio gorące dni - przyznała, przyglądając się Jackowi spod rzęs. Powinien się trochę odprężyć, pomyślała. Przez chwilę miała ochotę wstać i pomasować mu ramiona...

- Co? - Spojrzał na nią, a w jego niebieskich oczach chyba błysnęło zrozumienie.

- Nic - odparła szybko, ale nie zdołała odwrócić wzroku. - Powiesz mi, jak mam trafić na twoją farmę?

- Nie bądź niemądra. Przyjadę po ciebie. - Założył nogę na nogę. - Zrobię obchód trochę wcześniej i mogę wpaść około dziewiątej. Odpowiada ci to? I zabierz kostium kąpielowy.

- Chyba nie będziemy pływać w rzece lub stawie?

- Nie. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Mam basen ze wspaniale filtrowaną wodą.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dlaczego nie mogła się zdecydować? Znów popatrzyła na dwa rozłożone na łóżku kostiumy: czarny jednoczęściowy i turkusowe bikini.

- Na miłość boską! - jęknęła, biorąc się w garść, i wsadziła do płóciennej torby czarny.

Dołożyła jeszcze zwiewny sarong do wiązania wokół bioder i tubę kremu z filtrem przeciwsłonecznym.

Następnie odwróciła się do lustra i ponownie sprawdziła, jak wygląda. Miała na sobie cienkie džinsy i czarną trykotową koszulkę bez rękawów. Może powinna włożyć coś innego? Nie zdążyła się zastanowić, ponieważ właśnie zabrzączał dzwonek. Z sercem w gardle pośpieszyła do drzwi.

- Witaj. - Jack z uśmiechem odsunął się od otaczającej ganek poręczy. - Gotowa?

Gina skinęła głową.

- Wezmę tylko torbę.

- Pamiętałaś o kapeluszu? - zapytał, gdy wyjechali z miasta na szeroką, prostą szosę.

- Ojej, zapomniałam.

- Nie martw się. Znajdziemy coś w szafie Belindy. Odprężyła się i zaczęła podziwiać widoki. Ależ daleko do horyzontu, pomyślała, przesuwając spojrzeniem po rozległej równinie, której rudawy kolor silnie kontrastował z zielonymi polami. Jak okiem sięgnąć, wszędzie było widać bele zrolowanego siana.

- To siano przypomina gigantyczne zbiory bawełny, prawda?

- Trafne spostrzeżenie. - Jack uśmiechnął się ciepło i na moment podniósł dłoń Giny do ust. - Szczęśliwa?

- Oczywiście. - Jej serce wykonało skomplikowaną wolte. - Taki piękny dzień. Daleko jeszcze do Wongaree? - zdołała spytać, gdy puścił jej rękę.

- Tam skręcamy.

- Pewnie jest biała brama i wysadzany drzewami podjazd. - Zaciekawiona pochyliła się do przodu i przytknęła nos do szyby.

- Prawie. - Jack parsknął śmiechem, zręcznie pokonał metalową przegrodę dla bydła i wjechał na teren swojej posiadłości. Po obu stronach drogi rosły różnej wielkości sosny. - Posadziliśmy je, będąc dziećmi - wyjaśnił. - Później niektóre uschły, więc wymieniliśmy je na inne, nie przejmując się zachowaniem symetrii.

Dom był obszerny, piętrowy, z wyblakłej cegły, a w oddali na północy rysowały się najbardziej błękitne góry, jakie Gina widziała.

- Jesteśmy na miejscu - stwierdził Jack całkiem niepotrzebnie, parkując auto przed podwójnym garażem porośniętym bujnym czerwonym bluszczem.

Teatralnym ruchem zgasił silnik i odwrócił się do niej.

- Witaj w Wongaree, Gino.

- Miło, że mnie tu przywiozłeś - odparła po sekundzie milczenia, pośpiesznie chwyciła torbę, wysiadła i weszła za Jackiem na podwórze.

Ze wzgórzka na trawniku dostrzegła stół dla ptaków. Stało na nim płytkie koryto z wodą, w której wesoło taplały się pliszki.

- To raj dla ornitologów. - Jack powędrował wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Gnieździ się tu również sporo zimorodków. Są wspaniałymi aktorami. - Jack wszedł po kilku niskich stopniach na patio na tyłach domu.

- Zobaczą je?

- Tak, jeśli będziesz tutaj jutro rano. Wypowiedziane cichym głosem zdanie przypomniało jej o wątpliwościach dotyczących wizyty u Jacka. Mogło z niej wynikać tak wiele! Do tej pory Gina usiłowała tego nie analizować. W tej chwili też wolałaby darować sobie wszelkie rozważania.

Gdyby tylko było to możliwe.

Przez moment patrzyli na siebie, nic nie mówiąc, po czym Jack powoli się uśmiechnął.

- Napijesz się herbaty? - Otworzył drzwi i wprowadził gościa do środka.

- Jaka piękna kuchnia! - Bez namysłu wyraziła zachwyt wnętrzem, które promieniowało ciepłem i zdawało się zapraszać.

Wiedziona impulsem podeszła do wielkiego, starego stołu i niemal z nabożną czcią położyła dłonie na blacie. Kilkakrotnie przesunęła po nim palcami, wyczuwając drobne wgniecenia i słoje, i myśląc o kilku pokoleniach, które przy nim siadały.

Jack obserwował ją ze skrzyżowanymi ramionami.

- Teraz rozumiesz, dlaczego tak bardzo chciałem, żeby dom pozostał w rodzinie - powiedział cicho.

- Ale twoi rodzice... - Gina potrząsnęła głową. - Dlaczego nie zabrali mebli, kiedy się przeprowadzali?

- Kupili nowy dom i urządzili go w innym stylu. - Jack wzruszył ramionami. - Mama jest zadowolona z nowoczesnego wyposażenia.

- Pewnie tak...

Wyobraziła sobie małego Jacka, który tutaj dorastał. Musiał zachować cudowne wspomnienia z dzieciństwa. Podniosła wzrok na białe i niebieskie kubki zawieszane pod drewnianą półką. Stały na niej słoje z przetworami owocowymi, kusząc soczystymi kolorami.

Gina niemal poczuła zapach przypraw i świeżego ciasta, oczami duszy ujrzała ten piękny stół zastawiony świątecznymi potrawami, a wokół niego Jacka, jego rodzeństwo i rodziców...

- Gina?

Zamrugnęła, wyrwana z zamyślenia.

- Co ci jest? - Odgarnął z jej twarzy kosmyk włosów. Roześmiała się trochę sztucznie.

- Właśnie myślałam o tym, co opowiedziałby ten stół, gdyby umiał mówić.

- Niewątpliwie widział to i owo. - Jack bezwiednie musnął palcami wyszorowane drewno, jakby ten przelotny kontakt mógł ożywić wspomnienia. - Podczas ferii, gdy na dworze było zbyt mokro, graliśmy na tym stole w ping-ponga - dodał z wesołym uśmiechem. - Pamiętam, jak matka kluczyła między nami, usiłując ugotować obiad. Wydawało się nam to strasznie zabawne.

- A nie przyszło wam do głowy, żeby pomóc waszej zagonionej mamie?

- Też coś! - zawołał zdumiony. - Na ogół właśnie trwała ostateczna rozgrywka lub coś równie ważnego!

Uśmiech Jacka rozgrzał jego spojrzenie i Gina poczuła znajomy skurcz serca.

- Zaparzę herbatę, dobrze? - Przemknęła obok Jacka do zlewu i sięgnęła po czajnik.

Jack obserwował ją z lekka oszołomiony. Obecność Giny wydawała się tutaj taka naturalna. Ale przecież właśnie tego się spodziewał, prawda? Ta myśl dziwnie go wzruszyła.

Poszedł na górę się przebrać, a Gina została w kuchni i próbowała wziąć się w garść. Ale fakt, że jest tutaj tylko z Jackiem, nieco ją rozstrajał. Uspokój się, powtarzała sobie w duchu. Co z tego, że jesteście tu tylko we dwoje. To nic nie znaczy.

Przeciwnie, odpowiedział głosik gdzieś głęboko. To znaczy bardzo wiele.

Jęknęła, zła na siebie, zdjęła z haczyków dwa kubki i postawiła je na blacie. W zamrażarce znalazła słodkie bułeczki, więc zagrzała je w kuchence mikrofalowej, a ze spiżarni wzięła słoik truskawkowego dżemu domowej roboty. Doskonale. Co by tu jeszcze...

- Mogę jakoś pomóc? - spytał Jack zza jej ramienia.

- Och! - Przycisnęła dłoń do serca. - Właściwie już wszystko gotowe. Zajrzałam do lodówki i spiżarni. Mam nadzieję, że się nie gniewasz. Zjemy na patio? Jeśli tak, to przydałaby się taca. - Umilkła, aby złapać oddech.

- Już ci daję. - Jack usiłował się nie rozeźmiać.

Po kilku łykach aromatycznej herbaty Gina trochę się odprężyła i ponownie napełniła kubki.

- Jakim cudem dajesz sobie radę ze sprzątaniami takiego wielkiego domu, Jack? Starcza ci czasu?

- Właściwie korzystam tylko z kilku pomieszczeń. Poza tym o wszystko dba moja sąsiadka, Helen Grant. Przychodzi dwa razy na tydzień. Potrzebuje dodatkowego zajęcia, a ja się cieszę, że ze szpitala nie wracam do dzikiego bałaganu.

- Twoja Helen chyba także świetnie gotuje. Zapasy w zamrażarce wyglądają imponująco. - Gina uśmiechnęła się do niego znad brzegu kubka. Opatrzony etykietkami porcje zrobiły na niej wielkie wrażenie.

- Tak, lubi gotować. - Jack odsunął się od stołu i oparł stopy o odwróconą do góry nogami wielką donicę. - Oczywiście, płacę jej za to dodatkowo. Oszczędza pieniądze na uniwersyteckie czesne.

Przymknął powieki i oboje pograżyli się w przyjemnym milczeniu. Przerwała je Gina, która nagle zerwała się z krzesła i podbiegła do poręczy tarasu.

- Jack, spójrz! - zawołała przejęta. - To papugi? Wskazała na stadko kolorowych ptaszków, które sfrunęły do ogrodu, robiąc mnóstwo hałasu.

- To tęczowe papużki malajskie - odparł, wyrwany z przyjemnego rozleniwienia, i podszedł do Giny. - Przylatują tutaj znęcone jaśminem. Są strasznie łakome.

- Rzeczywiście!

Rozeźmiała się, zachwycona widokiem tyłu upierzonych głodomorów nad rozłożystym krzakiem.

- Z pozoru są odważne i pewne siebie, ale w gruncie rzeczy łatwo je spłoszyć. - Jack niemal bezwiednie położył dłoń na karku Giny i zaczął głaskać miękką skórę u nasady włosów. - A to dopiero! - Przelotnie zacisnął palce. - Ten wstrętny kruk zaraz je przerazi!

- Biedactwa! - Gina wychyliła się za poręcz, gdy różnobarwna masa z szaleńczym łopotem uniosła się w powietrze. - Dokąd odlecą?

- Prawdopodobnie do strumienia. - Wzruszył ramionami. - Obsiada jakieś drzewo gumowe, zbiorą nektar i pyłek. Życie dzikiej fauny jest łatwo przewidywalne. Nie tak jak nasze, Gino - dodał cicho i nagle znalazła się w jego objęciach.

Zdażyła tylko wziąć płytki oddech, zanim Jack zagarnął jej usta wargami. Przytulili się bez wahania, jakby byli dla siebie stworzeni, rozkoszując się ciepłem swoich ciał, które promieniowało przez cienką odzież. Gdy przestali się całować, Gina trochę się odsunęła, ale pozostała w ramionach Jacka.

Wiedział, że jej pragnie. Mówiły mu o tym reakcje jego ciała. I musiałby być z drewna, żeby nie rozpoznać przejawów jej pożądania. Jest taka śliczna, pomyślał i delikatnie obrysował palcem jej usta.

- Zostań na noc, Gino...

Nie odpowiedziała. Nie potrafiła. Pieszczoty Jacka pobudzały ją w cudowny sposób i pewnie już wkrótce nie zdoła tego ukryć. Ale pójście z Jackiem do łóżka oznaczało coś zupełnie innego. Mogło postawić jej cały uporządkowany świat na głowie. Dlatego wrodzona ostrożność ostrzegała przed zbytnim pośpiechem, podpowiadała, że lepiej posuwać się do przodu małymi krokami.

- Jack... - Zaśmiała się, aby ukryć zmieszanie. - Lubię być z tobą. Nie... - Potrząsnęła głową. - Uwielbiam być z tobą.

- A ja z tobą - zapewnił z przekonaniem i ujął w dłonie jej twarz. - Strasznie brakowało mi tutaj ciebie w poprzedni weekend.

- Ale teraz już jestem. - Obdarzyła go przesadnie wesołym uśmiechem. - Zamierzasz pokazać mi całą farmę?

- Jeśli tego chcesz...

- Oczywiście.

Miała wrażenie, że pokonali wielki dział wodny, gdy zebrali nakrycia na tacę i wrócili do wnętrza. Zaczęła wkładać talerze do zmywarki, a Jack poszedł znaleźć jakiś kapelusz. Po chwili przyniósł słomkowe cudo z szerokim rondem, ozdobione fantazyjnym, biało-czarnym szalem.

- Też z Rzymu?

Jack zerknął na przyczepioną do szerokiego ronda metkę.

- Z Honolulu.

- O rany! - Gina włożyła kapelusz i z palcem pod brodą przybrała pozę modelki, uroczo wydymając usta.

Jack ze zmysłowym uśmiechem spróbował ją złapać, ale umknęła mu i roześmiana wybiegła na zewnątrz.

- Jeszcze się doigrasz, siostró Wilde - zawołał ostrzegawczo i wcisnął na głowę swój stary skórzany kapelusz.

Trzymając się za ręce, przeszli przez ogród na tyłach domu i minęli bramę.

- Jeździsz konno? - spytał Jack, jakby właśnie wpadł na pomysł wspólnej przejażdżki.

Gina prychnęła.

- Jeździłam, ale tylko w dzieciństwie na karuzeli podczas wielkanocnego jarmarku. Nie mogliśmy sobie pozwolić na naukę jazdy konnej.

- Brakowało ci takich rzeczy, Gino? - Przystanął i zwięzionymi oczami spojrzał na nią uważnie.

- Boże drogi, nie! - Przytrzymała pożyczony kapelusz, aby nie zdmuchnął go gwałtowny powiew wiatru. - Nie wychowywałam się z dziećmi, które marzyły o przynależności do klubu jeździeckiego. Ale ty, tutaj... - rozłożyła ramiona, ilustrując tym gestem rozległość dziewiczego terenu - miałeś to wszystko w zasięgu ręki.

- I nigdy tego nie doceniałem.

- To chyba typowe dla młodości. - Lekko wzruszyła ramionami.

Później wyruszyli dziupem na wycieczkę. Jack jechał powoli, aby Gina mogła do woli napatrzeć się na ciekawe formacje skalne, które bardzo się jej podobały.

- Ile bydła obecnie hodujesz?

- Niewiele. - Powędrował wzrokiem za jej spojrzeniem. W cieniu rozłożystego drzewa stało sześć sztuk silnej rasy Dexter. - Tylko tyle, żeby to nadal przypominało dawną farmę.

- Żadnych owiec?

- Uchowaj Boże! - Skrzywił się z obrzydzeniem. - Nie cierpię owiec!

- Dlatego, że w końcu trzeba je...

- Przeznaczyć na rzeź - dokończył ponuro. - Dalej droga się kończy. - Zręcznie zawrócił auto i je zatrzymał. Teraz mieli przed sobą falistą równinę.

- Ależ tu pięknie! - westchnęła, zachwycona pejzażem. Powoli wysiadła i rozejrzała się wokoło.

- Usiądźmy tam. - Otoczył ją ramieniem, jakby dotykanie jej było teraz czymś najbardziej naturalnym na świecie, i podprowadził do wielkiego gumowego drzewa.

Siedli w jego cieniu na trawie.

- Nic dziwnego, że chciałeś tu wrócić. - Gina podciągnęła kolana pod brodę i utkwiała wzrok w połyskującej wodzie małej zatoczki. Na jej

powierzchni unosił się dywan białych lilii. - To cudowne miejsce, prawda? Nadzwyczajne.

- Podobnie jak ty - stwierdził stłumionym głosem. Nieoczekiwanie zsunął jej kapelusz i zaczął okrywać drobnymi pocałunkami skroń, policzek i małe pieprzyki obok ust.

- Gino...

Ogarnęło ją poczucie niezwykłej lekkości. Miłość i pożądanie połączyły się w jedną wielką falę, która wstrząsnęła całym ciałem aż po czubki palców. Nawet nie próbowała się jej oprzeć.

Jack obrócił ją plecami do siebie, tworząc z ramion kołyskę dla jej smukłej postaci. Wtuliła się w niego tak mocno, jakby oba ciała wyrzeźbiono z myślą o tym, aby wzajemnie się uzupełniały.

- Życie wygląda z tej perspektywy całkiem nieźle, prawda? - Obejmując ją w pasie, cmoknął czubek jej głowy.

- Tak - przyznała cicho, nagle czując, że skłamałaby, mówiąc coś innego.

Odwróciła się, a w jej spojrzeniu malowały się wszystkie uczucia przepelniające jej serce.

Nadal trzymając ją w objęciach, Jack cofnął się i oparł plecami o pień drzewa. Długo siedzieli przytuleni do siebie i w milczeniu chłonęli wzrokiem piękno krajobrazu. Nie odczuwali potrzeby rozmawiania. W tych pełnych uroku chwilach wystarczyło im tylko to, że mogą rozkoszować się słońcem i cieniem, zapachem zbieranego siana, odległym buczeniem traktorów;

- Hej! - Jack leciutko nią potrząsnął. - Popływasz przed lunchem?

W domu skierował ją do sypialni Belindy, gdzie przebrała się w czarny kostium. Potem z bijącym sercem zeszła na dół.

Kierując się dźwiękami nostalgicznej piosenki Roberta Flack, otworzyła furtkę z drewnianej kratki i znalazła Jacka na brzegu basenu.

- Uwielbiam jej utwory. - Rozwiązała sarong i rzuciła go na fotel.

Jack spojrział na nią ponad elektroniczną wieżę, a w jego oczach błysnęło uznanie.

- Gotowa na skok? - Uniósł brwi, a Gina skinęła głową i gładko dała za nim nurka do basenu.

Leniwie przepłynęli kilka długości, a później leżeli na wznak, unoszeni przez lekko falującą wodę. Gina zamrugała, aby strząsnąć krople z rzęs, i z zachwytem wlepiła wzrok w oszałamiająco niebieskie niebo. Od niepamiętnych czasów nie była taka szczęśliwa. Otaczało ją piękno świata,

Jack znajdował się tuż obok i wszystko wydawało się właśnie takie, jak być powinno.

Kocham go, pomyślała, upojona tym olśnieniem. I nagle zapragnęła cieszyć się z Jackiem każdym cudownym szczegółem rzeczywistości: błękitem nieba, chłodem wody, cierpkim aromatem eukaliptusów i innymi zapachami tak bardzo pobudzającymi jej zmysły, że miała w oczach łzy radości.

- Jack? - Nabrała w dłoń trochę wody i ochlapała mu tors. - Otwórz oczy.

- Hmm?

- Co widzisz? - spytała niemal uroczystym tonem, jakby spodziewała się usłyszeć coś nadzwyczajnego.

- Niewiele. - Jack osłonił ręką oczy i spojrzał w górę. - Kawał nieba. Później może być burza.

- Cóż za przyziemność!

Chciała go popchnąć, ale okazał się szybszy. Wciągnął ją całą do wody, z której wynurzyła się, obejmując go za szyję. Chichocząc pocałowali się jeden raz, potem drugi.

Nie zauważyła, kiedy te cmoknięcia zmieniły się w coś innego. Jack położył dłoń na jej brzuchu, poczuła przyspieszone dudnienie swego serca i usta Jacka powyżej wycięcia kostiumu.

- Jack... - Przesunęła ręce po jego śliskich plecach, a on odetchnął głęboko i uniósł głowę.

- Chyba wychodzimy, Gino - powiedział nieswoim głosem, podholował ją do brzegu basenu i posadził na tarasie.

- Idziesz? - Schyliła się i wyciągnęła rękę.

- Za moment. - Uśmiechnął się trochę zakłopotany. - Najpierw muszę nad sobą zapanować.

Jeśli człowiek zakochany ma większy apetyt, to niewątpliwie powinna przestrzegać diety. Szykując w kuchni sałatę, Gina czuła wilczy głód. Dodatkowo zaostrzał go zapach steków, które Jack piekł na grillu.

Sięgnęła po kieliszek i wypila łyk wina, w pełni świadoma, że wcale nie potrzebuje alkoholu. Już i tak była pijana szczęściem.

- Lunch bardzo mi smakował - stwierdziła pół godziny później, napełniając dwa kubki kawą. - Umierałam z głodu.

- Zauważyłem. - Spojrzał jej w oczy i natychmiast spoważniał.

Zaczerwieniła się i pokazała mu język. Czuła się jak w siódmym niebie.

- Jack? - Ich nagie stopy zetknęły się pod stołem. - Jak długo byłeś żonaty?

Poderwał głowę, jakby pociągnęła za jakiś sznurek.

- Czasem potrafisz dotknąć czulej struny, siostró Wilde.

- To temat tabu? - spytała trochę zaskoczona.

- Chyba nie... - Znow odchylił głowę na oparcie fotela i utkwił wzrok w jakimś odległym punkcie.

Wiedział, że byłoby dobrze porozmawiać o tamtych sprawach, a Gina nie jest osobą skłoną do osądzania innych. Mimo to poczuł skurcz w żołądku na myśl ojej ewentualnej reakcji.

W zamyśleniu przejechał dłonią po policzku.

- Przyznaję, że powinienem ruszyć ze swoim życiem do przodu. Lepiej niż w przeszłości...

- Czasem trzeba się cofnąć, zanim ruszy się dalej. - W spojrzeniu Giny pojawił się błysk wyzwania, gdy obserwowała go znad podniesionego do ust kubka.

- To twoje perełki mądrości, Gino?

- Mam ich całe mnóstwo. Więc jak długo byłeś żonaty? - powtórzyła z uporem.

- Zoe i ja byliśmy małżeństwem ponad dwa lata. - Przeczesał palcami włosy. - Pewnie uznasz, że za krótko, aby naprawdę się postarać.

Zignorowała tę aluzję.

- Gdzie się poznaliście?

- Wyobraź sobie, że na balu w operze w Sydney. Przedstawili nas sobie nasi wspólni przyjaciele. Ja właśnie zasiliłem personel szpitala imienia świętego Wincentego, a Zoe przyjechała na sesję zdjęciową. Była modelką - wyjaśnił.

- Ale nie na wybiegu, lecz pozującą do seksownych zdjęć reklamujących kosmetyki ekskluzywnej firmy.

Można wpaść w kompleksy od samego słuchania, ironicznie pomyślała Gina.

- Właściwie nie ma co opowiadać - dodał. - Wzięliśmy ślub. A potem rozwód.

- Niewiele ujawniasz, Jack. Zakochaliście się w sobie?

- A cóż to jest miłość? - prychnął kpiąco. - No dobrze.

- Uniósł rękę. - Początkowo chyba sądziliśmy, że się kochamy. Ale z perspektywy czasu widzę, że związek za bardzo opierał się na seksie, aby przetrwać. A może trzeba winić nasz styl życia? Oboje pracowaliśmy i czasem nie widywaliśmy się całymi tygodniami.

Gina słuchała uważnie, obserwując palce Jacka, gdy zerwał z drzewa pachnący liść i zaczął go rozdzierać.

- Wkrótce po drugiej rocznicy ślubu Zoe zaszła w ciążę. Nie planowaliśmy tego, ale ja byłem zachwycony. Natomiast Zoe niezbyt cieszyła wizja rychłego macierzyństwa.

- Może twoja żona martwiła się, że straci figurę? - Gina zamierzała być obiektywna. Jack wzruszył ramionami.

- W ogóle nie chciała zostać matką. Podpisała kontrakt na sesje w Europie i czekała na próbne zdjęcia w telewizji. Starła się o rolę w serialu i miała szansę ją dostać. - Jack zaśmiał się gorzko. - Dlatego szalała ze złości.

- Och, Jack. - Gina wzięta go za rękę i lekko ją ścisnęła, pragnąc chociaż w ten sposób wyrazić zrozumienie.

- Gdyby ciąża przebiegała gładko, może jakoś dalibyśmy sobie radę. Ale Zoe strasznie cierpiała z powodu porannych mdłości. Nic nie pomagało jej na tyle długo, żeby wzięła się w garść. Dlatego była znudzona, nieszczęśliwa, wiecznie rozgniewana.

- Na ciebie?

- Oczywiście. W końcu podjąłem decyzję. Poprosiłem szefa o przyzwoity rozkład dyżurów i przejąłem obowiązki domowe, żeby Zoe mogła więcej wypoczywać.

- To działało?

- Początkowo tak - przyznał, patrząc ponuro w dal. - Aż do dnia, w którym zapomniałem przywieźć nowe kasety wideo z wypożyczalni. Zoe postanowiła nie czekać na mój powrót i pojechała swoim samochodem do miasta. Ale było jej niedobrze, więc nie zapięła pasów...

- O Boże... - Gina zadrżała, wiedząc, co zaraz usłyszy. Jack skinął głową.

- Odniosła tylko powierzchowne obrażenia, ale doznała szoku. I tej nocy poroniła.

Gina zastygła w bezruchu.

- Miałeś do niej pretensje?

- Mało powiedziane. - Głos Jacka zabrzmiał zgrzytliwie. - Zrobiłem jej dziką awanturę.

- Jack, jak mogłeś?

- Po prostu przestałem nad sobą panować. Byłem zestresowany do granic możliwości. Ale to żadne usprawiedliwienie. Powinienem był przecież wesprzeć moją żonę, a nie umialem. - Przełknął gwałtownie ślinę. - Pogodziliśmy się, ale to nic nie dało. - Ujął dłoń Giny. - Najgorszym dniem

mojego życia okazał się ten, w którym spojrzeliśmy z Zoe na siebie i zrozumieliśmy, że już nic nas nie łączy. Rozeszliśmy się. Ona chyba mieszka w Stanach. Nadal jest modelką.

- A ty zostałeś tutaj - szepnęła Gina.

- Jak widzisz.

Przez resztę dnia miała wrażenie, że przebywa w jakiejś próżni. Jack wpadł w melancholijny nastrój i prawie się nie odzywał. Tylko na usilną prośbę Giny przyniósł albumy ze zdjęciami z dzieciństwa. Wyczuwała, że zamknął się w sobie i próbowała delikatnie sprowokować go do pogawędki, ale nic z tego nie wyszło. Zupełnie jakby otoczył się niewidzialnym murem, za który nie miała wstępu.

O zmroku chciał pokazać jej dzikie wombaty, lecz nawet i one okazały się dziś chimeryczne i nie wyszły ze swych nor. Jack był wyraźnie rozczarowany.

- Zawsze pojawiają się o tej porze. Bezbłędnie wyczuwają zapadające ciemności.

- Siedząc w swoich jamach? - spytała zdumiona i przysunęła się do niego.

- Mają imponujący instynkt. - Jack przykucnął, pociągając ją za sobą. - Przy wejściu do nor urządzają coś w rodzaju punktu obserwacyjnego, z którego oceniają panującą na zewnątrz temperaturę i intensywność światła. Wychodzą tylko w specyficznych warunkach.

- Coś takiego. - Gina była pod wrażeniem. - Może zechcą mi się pokazać następnym razem? - spytała, wolnym krokiem wracając z Jackiem na podwórze.

Nie odpowiedział.

Minęli bramę i Gina zdjęła ze sznurka suchy kostium kąpielowy oraz ręcznik.

- Chyba jednak nie będzie burzy - stwierdziła, usiłując podtrzymać rozmowę.

Potem rozejrzała się po kuchni, jakby szukała jakiegoś namacalnego dowodu, że spędziła ten dzień z Jackiem. Otoczenie wyglądało jednak tak samo jak przedtem, wszystko pachniało tak samo. Tylko atmosfera się zmieniła.

Nie, to nie tak. Gina potrząsnęła głową. Już wiedziała, o co chodzi. Zasadniczo zmieniło się tylko to, co do niedawna było między nią a Jackiem. Wzdrygnęła się, gdy dotknął jej ramienia.

- Jeśli spakujesz swoje rzeczy, to odwiozę cię do domu. Te słowa podziały na nią jak smagnięcie biczem. Zamaskowała ból wymuszonym uśmiechem.

Jak mogła oczekiwać, że Jack jeszcze raz poprosi ją, aby została do jutra? Przecież było jasne jak słońce, że już nie jest nią zainteresowany.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W niedzielę zupełnie nie mogła znaleźć sobie miejsca. Postanowiła wyładować na czymś dręczącą frustrację i posprzątała mieszkanie. Później okazało się, że musi spędzić kilka długich godzin w pralni, ponieważ pralka odmówiła posłuszeństwa.

- Ach, ta nowoczesna technika! - mruzczała pod nosem, gniewnie wpychając pościel, ręczniki, szpitalne stroje i mnóstwo innych rzeczy do bagażnika.

Wyjeżdżając spod oceniającego podjazd daszku, pomyślała o żonach pionierów, które używały niezawodnych balii. Tyle tylko, że musiały poświęcać na pranie każdy poniedziałek. Ten argument trochę poprawił jej humor.

Gdy po powrocie przepychała się przez drzwi z koszem czystego prania, rozdzwonił się telefon. Czyżby Jack? Szybko postawiła kosz i chwyciła słuchawkę.

- Gma? Tu Cassie.

- Cześć, Cass. - Serce Giny wpełzło na swoje miejsce i zaczęło bić w normalnym tempie. - Co słyszeć?

- Masz plany na popołudnie?

Spojrzała na stos starannie złożonych rzeczy.

- Tylko takie, które można zrealizować później - odparła sarkastycznie. - Potrzebujesz czegoś ode mnie?

- Twojej rady, prawdę mówiąc. Za niecałe dwa miesiące biorę ślub, a jeszcze nie wybrałam sukni.

Gina wiedziała, co to oznacza. Uznała więc, że trzeba zdusić pomysł w zarodku.

- Cass, jeśli jeszcze przed Bożym Narodzeniem mam przejrzeć kolejny żurnal dla panien młodych, to chyba osiwieję.

Cassie zachichotała.

- Zapomniałam, że w zeszłym roku wyszły za mąż twoje siostry. Przygotowania były pracochłonne?

- Jeszcze jak! - Gina wymownie jęknęła.

- Rozumiem - pogodnie stwierdziła Cassie. - A co powiesz na kino? Chyba grają jakąś komedię.

Gina w zamyśleniu przesunęła palcem po spiralnym sznurze telefonu. Niewątpliwie przydałoby się jej trochę rozrywki. Lecz jeśli zadzwoni Jack? Niech sobie dzwoni, pomyślała z irytacją.

- Chętnie z tobą pójdę, Cass. Na którą?

- Wpadnę po ciebie o czwartej. Może później skoczmy coś zjeść?

- Brad cię dzisiaj wystawił do wiatru? - W głosie Giny zabrzmiało rozbawienie.

- Pomaga ojcu. Zbierają siano.

- Więc wychodzisz za rolnika! - Gina parsknęła śmiechem.

- Za hodowcę bydła! ~ z żartobliwą wyższością poprawiła Cassie.

- Wybacz pomyłkę. Do zobaczenia o czwartej. - Gina odłożyła słuchawkę, zadowolona, że się umówiła.

Film pozwoli zabić trochę czasu, a towarzystwo Cassie zawsze jest przyjemne.

Wróciła do domu po dziewiątej. Natychmiast sprawdziła, czy Jack nie zostawił wiadomości, ale okazało się, że taśma jest pusta. Cóż, właściwie nie sądziła, że się odezwie. Wczoraj wieczorem pożegnał ją tak lakonicznie. Rzuciła klucze na niski stolik i poszła do sypialni.

Szykując na jutro szpitalny uniform, doszła do wniosku, że obecnie mogłaby już chyba robić to nawet przez sen. Czyżby za długo była pielęgniarką? Przeanalizowała tę kwestię, zajęta czyszczeniem granatowych pantofli. Czy już znudziła się wykonywaniem swojego zawodu i dlatego z taką niechęcią myśli o jutrzejszym dyżurze? Nie, to nie tak. Po prostu rozstrajała ją perspektywa spotkania Jacka.

Poczuła w sercu bolesne ukłucie i westchnęła. Czemu nie zakochała się w kimś o mniej skomplikowanej przeszłości? Cóż, to pytanie ma tyle sensu co zastanawianie się, dlaczego śwynie nie latają.

Ustawiła równo buty i poszła do łazienki umyć ręce. Na widok swojego odbicia w lustrze skrzywiła się z niesmakiem. Tej nocy źle spała. Jeśli dziś się porządnie nie wyśpi, jutro prawdopodobnie wstanie z wielkimi sińcami pod oczami...

W poniedziałek padało. Wyglądając przez okno stwierdziła, że taki deszcz cieszy farmerów, a od matek dzieci w wieku szkolnym wymaga anielskiej cierpliwości.

Od rana była taka rozkojarzona, że nie chcąc się spóźnić, pojechała do pracy samochodem. Pozałowała tego, wjeżdżając na parking, który już o tej

porze pękał w szwach. Okrążyła go dwukrotnie i w końcu znalazła dla swojej małej mazdy wolne miejsce.

Na oddziale już panowała atmosfera sądnego dnia i natychmiast wzięła się do roboty. Siostra przełożona z nocnej zmiany miała zwolnienie lekarskie, a zastępczyni o wiele gorzej radziła sobie z obowiązkami. Świadczył o tym raport, który Gina przeczytała ze zmarszczonymi brwiami.

Pojawił się kolejny przypadek koklusz. Stwierdzono go u trzyletniej Madeleine Graham. Miała wysoką gorączkę i bardzo kaprysiła. Jack dał jej valium i dziecko szybko się uspokoiło.

Nowymi pacjentami były też bliźniaczki narzekające na ból brzucha, które przyjęto na obserwację, dziecko ze wstrząśnieniem mózgu w wyniku upadku z huśtawki, i dwuletni chłopczyk. Podczas rodzinnego pikniku wbiegł na dopalające się ognisko i Jack miał zdecydować, czy należy przewieźć malca na oddział oparzeń w szpitalu w Sydney.

Gina z ciężkim westchnieniem sprawdziła listę dzisiejszych operacji. Wyznaczono trzy zabiegi usunięcia migdałków. Dwaj mali pacjenci już przebywali na oddziale, trzeci jeszcze się nie zjawił. Gina zanotowała, aby zadzwonić do jego rodziców.

Musi też zgłosić w agencji pielęgniarskiej, że potrzebują jednej osoby. Piers wziął wolny dzień. Sięgnęła po słuchawkę, mając nadzieję, że szef zaakceptuje to nagłe zastępstwo.

Powinna też porozmawiać z Jackiem, ale to na razie nie było możliwe, ponieważ pojechał na jakieś zebranie.

Zastępowała go Toni, co najwyraźniej wcale jej nie cieszyło, ponieważ jej dyżur formalnie już się skończył. Gina zacisnęła usta. Doskonale rozumiała, dlaczego przedstawiciele Australijskiego Stowarzyszenia Lekarzy ostatnio badali sprawę zbyt dużej liczby godzin pracy świeżo upieczonych medyków. Często rzeczywiście harowali ponad siły.

- Siostro, możemy chwilę porozmawiać? - spytała Megan, zaglądając do gabinetu.

- Oczywiście. - Gina odsunęła plik komputerowych wydruków i gestem wskazała dziewczynie krzesło. - O co chodzi?

- Daniel De Vere zachowuje się jak dwuletni brzdąc - oznajmiła praktykantka z wyraźną frustracją w głosie.

- Od kiedy? - Gina z trudem zachowała powagę.

- Od kilku dni. Jest leworęczny - Megan z przejętą miną pochyliła się do przodu - ale na lewej ręce ma gips, więc musi dawać sobie radę prawą.

- Kroisz mu jedzenie na kawałki?

- Jasne! Ale on udaje, że nie umie nawet trzymać głupiej grzanki. - Megan skrzywiła się, rozjątrzona. - Żąda, żebym ją też kroić na małe kęsy!

Gina przygryzła wargi, aby nie parsknąć śmiechem.

- Co z jego mamą?

- Bardziej przeszkadza, niż pomaga. - Megan wzruszyła ramionami. - Gotowa zrobić za niego nawet najmniejsze głupstwo.

- Czasem tak bywa. - Gina miała za sobą trzy lata pracy.

- Zostaw to mnie. Spróbuję jakoś ułatwić ci życie. Poza tym wszystko w porządku?

- Tak, dzięki.

Gina odetchnęła z ulgą i dokończyła uzupełnianie papierków. Wracając na oddział, niemal wpadła na Phila Cartera. Właśnie wychodził tyłem z pokoju zabiegowego.

- Cześć, Gina. - Odruchowo złapał ją za łokieć. - Poniedziałek chwycił cię za gardło?

- Coś w tym stylu - przyznała z krzywym uśmiechem.

- Mogę jakoś pomóc? - W spojrzeniu szarych oczu Phila błysnęła sympatia.

- Chyba tak?.. - Wzięła głęboki oddech i wspomniała lekarzowi o Danielu De Vere.

- Dzieciak daje się we znaki, co?

- Trzeba przyznać, że nie jest mu łatwo. A jego matka, niestety, tylko pogarsza sytuację, bo traktuje go jak małego dzidziusia.

- Ach tak. - Phil ze zrozumieniem pokiwał głową. - Chcesz, żebym do niego zajrzał?

- Zrobiłbyś to? Sądziłam, że pani De Vere okaże więcej zdrowego rozsądku, ale Danny jest jedynakiem...

- Zajmę się tym. - Phil uśmiechnął się szeroko. - Na ogół dobrze radzę sobie z rodzicami. Opieram się na własnym doświadczeniu.

Jaki miły człowiek, pomyślała, patrząc za nim, gdy szedł do pokoju Daniela. Następnie zerknęła na zegarek i zasepiła się. Gdzie, u licha, jest Jack?

Po chwili zauważyła go wysiadającego z windy i pobiegła za nim, ponieważ szybko poszedł w stronę swojego gabinetu.

- Tak, siostrze? - Zatrzymał się raptownie, gdy go dogoniła. - O co chodzi?

Przełknęła ślinę na widok jego twarzy. Sprawiał wrażenie zestresowanego i najwyraźniej nie był zachwycony tym spotkaniem.

- Chciałabym z tobą porozmawiać - rzekła z wahaniem. Zaciśnięła na chwilę zęby.

- Jeśli to sprawa osobista, to musi poczekać. Gina osłupiała. Równie dobrze mógłby ją uderzyć.

- Dotyczy personelu.

- Lekarskiego? - Zmarszczył brwi.

- Pielęgniarskiego.

- To twoja domena, siostrzo, nie moja - rzucił przez ramie. Wpatrywała się w niego, całkiem oszołomiona. Zachowywał się nieuprzejmie, wręcz gburowato.

- Nie prosiłabym cię, gdyby to nie było ważne.

- Dobrze. - Jack sapnął ostentacyjnie. - Chodź do mojego gabinetu.

Z zaciśniętymi ustami weszła za nim do pokoju. Podszedł do biurka i powiesił marynarkę na oparciu krzesła.

- Mam dzisiaj nadmiar obowiązków - burknął - więc się streszczaj.

- Moglibyśmy usiąść? - spytała chłodno, prostując się powoli.

Wzruszył ramionami, jakby było mu wszystko jedno, ale siadł i patrzył na nią obojętnie.

Dobry Boże, co mu się stało? Najchętniej po prostu by wyszła, ale musiała załatwić tę sprawę.

- Wczoraj wieczorem odwiedził mnie Pierś Korda - oświadczyła, patrząc Jackowi prosto w oczy. - Był bardzo zdenerwowany. Tasha poroniła.

- Do diabła... - Głos Jacka zabrzmiał głucho. - To okropne. W którym miesiącu?

- Koniec trzeciego. - Gina poczuła pod powiekami piekące łzy.

Jack zaklął cicho.

- Pierś wziął trochę wolnego?

- Tylko jeden dzień, żeby dzisiaj po południu odwieźć Tashę na lotnisko. Leci do swoich rodziców.

- To nie jest dobre rozwiązanie. Powinni przecierpieć to razem. Bo inaczej... - Gwałtownie przeczesał palcami włosy. - Przyjęli ją do nas?

- Nie, do Mfercy. Pierś odebrał ją dziś rano.

- Kiedy to się stało?

- W sobotę. - Gina przygryzła wargę. - Wykonano zabieg wyłyżeczkowania jamy macicy. - Gina oparła dłonie o blat i błagalnie

spojrzała na Jacka. - Oni oboje nie dają sobie rady. Mógłbyś z nimi porozmawiać?

- Obawiam się, że nie, Gino.

- Przecież sam przeżyłeś coś takiego! - zawołała, ignorując napięcie, które wyczuła w tonie jego głosu. - Trzeba im pomóc.

- Od tego są wykwalifikowani doradcy - odparł sucho.

- Nie będą słuchać obcego człowieka. - Bezwiednie przycisnęła pięść do serca. - Potrzebują przyjaciela, Jack, kogoś, kto rozumie, przez co przechodzą. - Zamrugła, aby powstrzymać łzy. - Pierś się obawia, że Tasha już do niego nie wróci od rodziców.

Jack poruszył się niespokojnie.

- Przecież są sobie bliscy, prawda? Jakoś z tego wyjdą.

- Ale najpierw sprawią sobie nawzajem mnóstwo bólu, którego można uniknąć. Tasha podobno nawet nie chce rozmawiać z Piersem o stracie dziecka...

- Kompletnie zgłupiała? - Jack potarł dłonią powieki. - Przecież nie ma wyłączności na cierpienie. Jej mąż jest tak samo załamany jak ona. To było także jego dziecko, na miłość boską!

- Więc zobaczysz się z nimi? - spytała cicho z nadzieją w głosie.

- Gino, moja sytuacja była inna. Zoe i mnie niewiele łączyło jeszcze zanim straciła dziecko.

- Ale wiesz, jak się oboje czuliście! Proszę cię, Jack... - Hipnotyzowała go wzrokiem.

- Nie. - Przełknął ślinę z wysiłkiem. - Nie mogę uganiać się za ludźmi, oferując im szczęśliwe zakończenia. Nawet nie zamierzam próbować.

- Rozumiem. - Powoli wstała i popatrzyła na niego ze smutkiem. - A ja myślałam, że pomożesz. Najwyraźniej bardzo się pomyliłam. Ale ostatnio rzeczywiście wyciągnęłam kilka pochopnych wniosków...

Z wysoko podniesioną głową odwróciła się i szybko wyszła.

- Niech to szlag! - Jack chwycił pierwszą rzecz, która mu się nawinęła pod rękę - swój kalendarz - i cisnął nim o ścianę. Mruczając pod nosem przekleństwa, oparł się łokciami o blat i gwałtownie przejechał rękami po włosach.

Tylko tego było mu trzeba. Zaśmiał się ponuro. Wciąż widział wielkie, piwne oczy Giny, patrzące na niego z oburzeniem.

Gina wróciła prosto do pokoju pielęgniarek. Była wstrząśnięta zachowaniem Jacka. Drżącymi rękami, które nagle odmówiły jej

posłuszeństwa, naląła sobie kawy. Podeszła do okna. Mocno trzymając ciepły kubek, popatrzyła na skąpany w deszczu świat.

Usiłowała zebrać myśli, aby pojąć, dlaczego Jack tak raptownie się zmienił, ale umysł miała jak odrętwiały. Wiedziała tylko jedno: Jack w sobotę był zupełnie kimś innym. Dobry Boże! Na myśl o sobocie i wszystkim, co robili w ten piękny dzień, poczuła bolesny skurcz w sercu. Jednym haustem dopiła kawę, usiłując zapanować nad roztrzęsionymi nerwami.

- Jest tu kto? - Zza drzwi wyjrzała Cassie. - Powiedziano mi, że może tu cię znajdę. Przyszłam coś użebrać.

- Cass... - Gina zamrugała i raptownie wróciła do rzeczywistości. - Czego potrzebujesz? - Podeszła do zlewu i wypłukała kubek.

- Oprócz paru dni wolnego? - Cassie wyjęła z foliowego opakowania pierniczek z orzechami i ze smakiem wbiła w niego zęby. - Uwierzysz, że skończyły się nam pieluchy? Mamy maluszka z podejrzeniem rozstroju żołądka. Dzieciak zużywa tony pieluch.

- Nie dostaliście przydziału z pralni? - spytała Gina, gdy szły do pokoju zabiegowego, będącego również podręcznym magazynem.

- Niestety, coś się zaparło. Przywiozą nam zapas dopiero po południu. Wtedy oddam ci co do jednej sztuki - obiecała Cassie.

- Nie ma pośpiechu. - Gina wzruszyła ramionami. - Tego towaru prawie nigdy nam nie brakuje. Sądysz, że wasz mały pacjent trafi później do nas?

- Chyba nie. Mary ma nadzieję, że nie będzie trzeba przyjąć go na oddział. Mama dziecka zadziałała rozsądnie i szybko. Przywiozła go, zanim nastąpiło odwodnienie organizmu.

Na korytarzu spotkały Jacka. Z marynarką przewieszoną przez ramię minął je szybkim krokiem i poszedł do windy.

- A gdzie on tak pędzi? - ze zdumieniem spytała Cassie.

- Oby utknął w korku - ponuro mruknęła Gina.

- O rany. - Cassie przygryzła dolną wargę. - Kłótnia kochanków?

- Nie jesteśmy kochankami. - Gina gwałtownie nabrała powietrza. - I raczej nigdy nie będziemy. A obecnie daleko nam nawet do przyjaźni.

- To niedobrze. - Cassie stanęła przy ścianie, poprawiając naręczne pieluch. - A już myślałam, że ty i Jack pójdziecie do ołtarza wkrótce po Bradzie i po mnie.

- Nie pleć głupstw. Cassie! - prychnęła Gina. - Nigdy nie mówiłam, że coś takiego jest możliwe.

- Nie? - Cassie uniosła starannie wyregulowane brwi. - Ale wczoraj jakiś milion razy wspomniałaś o Jacku.

- Nieprawda!

- Prawda, słoneczko. - W oczach Cassie błysnęło rozbawienie. - A poza tym - dodała gładko - widziałam, jak tańczyliście. Nie udałoby się wcisnąć między was nawet papierowej bibułki.

- Mądrała! - Gina pokręciła głową. - To był powolny kawałek, a nie rock and roli.

- Wiem - słodko zamruczała Cassie. - I sprawiło wam to przyjemność. Informuj mnie o rozwoju sytuacji.

Odeszła, chichocząc, a Gina jęknęła w duchu. Najwyraźniej nie zdołała przekonać Cassie, że nie jest dziewczyną Jacka.

Przez następną godzinę celowo zajmowała się dodatkowymi sprawami, aby nie mieć wolnej ani minuty. Sprawdziła, co dzieje się w sali lekcyjnej i sali zabaw, oraz rozegrała partię gry planszowej zjedną z bliźniaczek, która już paplała jak całkiem zdrowa osóbka. Badanie wykluczyło zapalenie wyrostka robaczkowego i Phil zlecił wypisanie obu dziewczynek do domu.

Dwóch chłopców już przywieziono po usunięciu migdałków. Mali pacjenci leżeli w tym samym pokoju i Gina poszła zobaczyć, jak się czują. Byli trochę osowiali, lecz ich mamy troskliwie nad nimi czuwały.

- Ich stan jest zadowalający. - Gina fachowym okiem zerknęła na karty zdrowia i ciepło uśmiechnęła się do obu kobiet.

- Mam nadzieję, że teraz Callum już nie będzie łąpał tych okropnych angin. - Matka jednego z chłopców usiłowała uspokoić synka, podając mu ulubionego pluszowego misia.

- Doktor O'Neal chyba wspomniał, że tak będzie? - Gina sprawdziła, czy obie kroplówki są dobrze podłączone.

- Owszem. - Kobieta skinęła głową. - Ale to nie on wykonywał zabieg?

- Nie. - Gina bezwiednie zatrzepotała rzesami. - Ale później zrobi obchód - dodała, usiłując nadać głosowi obojętne brzmienie.

- Gina, mam pomysł! - Na korytarzu dogoniła ją Krista.

- Lepiej się nim podziel - odparła z bladym uśmiechem, gdy wchodziły do jej gabinetu. - Usiądź, Kris.

- Chodzi o Tashę i Piersa. - Pielęgniarka z impetem opadła na krzesło. - Może byłoby miło wysiać im kwiaty, żeby trochę podnieść ich na duchu.

Ginę ogarnął wstyd. Sama powinna była o tym pomyśleć, ale próbowała pomóc w bardziej praktyczny sposób. I nie osiągnęła zupełnie nic.

- Jesteś genialna, Kris. Ale trzeba się pośpieszyć, bo Tasha po południu leci do Sydney.

- Tam mieszkają jej rodzice, prawda? - Krista w zamyśleniu pokiwała głową. - Biedny Pierś. Nie mógł wziąć urlopu, żeby z nią pojechać?

Gina znów poczuła dławiące w gardle łzy. Jak dużo z tego, co wie, może ujawnić Kriście? Uznała za stosowne poinformować personel o poronieniu Tashy, ponieważ chciała oszczędzić Piersowi kłopotliwych pytań, gdy wróci do pracy. Wczoraj wieczorem był roztrzęsiony.

- Chyba wspólnie podjęli decyzję - odparła oględnie i wzruszeniem ramion zbyła pytające spojrzenie Kristy. - A wracając do tych kwiatów...

- Właśnie. - W Kriście znów odezwała się dobra organizatorka. - Myślałam o bukiecie. Dużym i kolorowym.

- Wspaniale.

- Zamówię go w kwiaciarni pod arkadami. Robią fantastyczne wiązanki. Dosyć drogie, ale warte swojej ceny. I dostarczają w ciągu godziny. Albo... - Krista zawahała się - ja mogłabym je odebrać i szybciotko zawieźć im podczas przerwy na lunch.

- To chyba nie najlepszy pomysł - zauważyła Gina. - Oboje są chyba jeszcze bardzo rozstrojeni. Dajmy im trochę spokoju.

- Masz rację. Moja wizyta byłaby nie na miejscu. Lepiej posłać te kwiaty. - Krista uśmiechnęła się skruszona i zerknęła na zegarek. - Zebrać pieniądze?

- Nie, to trwa całe wieki. - Gina sięgnęła do szuflady po portfel. - Zapłać moją kartą, a później się rozliczymy.

- Och, Gina, jesteś kochana! - Krista radośnie chwyciła plastikową kartę. - Napiszę na bileciku coś naprawdę od serca.

- Na pewno wymyślisz odpowiedni tekst. - W głosie Giny zabrzmiała lekka nuta sarkazmu. - Twoja przedsiębiorczość jest legendarna.

- Naprawdę? - Krista skromnie spuściła wzrok.

- O, tak. Możesz zadzwonić stąd. Zaraz wychodzę na lunch.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Po południu pogoda wyraźnie się poprawiła. Już nie padało, ale było parno.

Po dyżurze Gina postanowiła iść na basen. Musiała za pomocą intensywnego wysiłku fizycznego zwalczyć skutki jednego z najtrudniejszych dni swego życia.

Na myśl o tym, co się dzisiaj działo, bezwiednie zacisnęła dłonie na kierownicy, nadal oszołomiona zachowaniem Jacka. Towarzyszyła mu podczas popołudniowego obchodu, lecz poza tym ich kontakty były tylko przelotne i ograniczały się do spraw wyłącznie zawodowych.

Czy jutro będzie tak samo? A pojutrze? Wzdrygnęła się lekko. Chyba nie mogła aż tak bardzo pomylić się co do Jacka?

Godzinne pływanie trochę ją zrelaksowało, ale w mieszkaniu było piekielnie duszno, toteż włączyła zainstalowany pod sufitem wentylator, pootwierała okna i wzięła prysznic.

Później owinęła się puszystym ręcznikiem i usiadła w sypialni przed lustrem. Przez chwilę wpatrywała się w swoją twarz, jakby widziała ją po raz pierwszy.

Długo tak tkwiła pogrążona w myślach i było już prawie ciemno, gdy wróciła do rzeczywistości. Zapaliła lampę i skrzywiła się na widok swojego odbicia. Włosy już wyschły i wyglądały okropnie, ponieważ ich nie ułożyła. Oznaczało to, że jutro będzie musiała wstać wcześniej, aby coś z nimi zrobić.

Włożyła szorty i króciutką koszulkę, i przez kuchnię wyszła do ogrodu. O tej porze był mroczny i tajemniczy, a ciszę mącił tylko delikatny dźwięk wiszących na ganku i poruszanych wiatrem dzwoneczków.

Skończyła długi list do matki i zerknęła na stojący na gzymsie kominka zegar. Wskazywał dziewiątą trzydzieści. Najwyższy czas, żeby napić się herbaty i iść spać. Gina stłumiła ziewnięcie i przeciągnęła się.

Zaparzyła herbatę i z kubkiem w dłoni znów wyszła na zewnątrz. Wygodnie usadowiona w płóciennym fotelu, spojrzała w rozgwieżdżone niebo.

Nie od razu usłyszała, że ktoś dzwoni do drzwi. Pewnie Pierś... Na moment przymknęła powieki. Prawdę mówiąc, nie miała ochoty teraz z nim rozmawiać. Z westchnieniem odstawiła kubek i powlokła się do holu. Właśnie kładła dłoń na klamce, gdy znów zabrzączał dzwonek.

Otworzyła drzwi i ze zdumieniem przesunęła wzrokiem po postaci mężczyzny w starych dżinsach i luźnej białej koszuli.

- Cześć, Jack - powiedziała spokojnie, zadowolona ze swojej zaskakującej obojętności.

- Gdzie się podziewałaś? - spytał nieco agresywnym tonem.

- Czego sobie życzysz? - Nie kryła braku entuzjazmu. Jack poruszył się niespokojnie.

- Chcę z tobą porozmawiać.

- Nie jestem pewna, czy mam ochotę słuchać czegokolwiek, skoro przemawiasz takim tonem.

Podерwał głowę i włożył ręce do kieszeni.

- Dałabyś się przeprosić?

Wzruszyła ramionami i gestem zaprosiła go do wnętrza.

- Właśnie zaparzyłam herbatę. Napij się?

- Chętnie.

Świadoma jego bliskości zdjęła z półki jasnożółty kubek i w zamyśleniu przygryzła wargi. Jack był jakiś nieswój. Wyczuwała też jego zakłopotanie, wręcz bezradność. Niedobrze, jęknęła w duchu. Nie powinien tak łatwo jej wzruszyć. Po tym, na co ją dzisiaj naraził, zasługiwał na poczucie niepewności.

- Jadłeś kolację? - Zmusiła się, aby spojrzeć mu w oczy, i jej serce zmiękło jak wosk.

- Tak, dzięki. - Trochę niezręcznie wziął od niej kubek. Przełknęła ślinę, ponieważ nagle zaczęło dławić ją w gardle. Niech licho porwie tego faceta! Przez niego znów się rozkleja.

- Siedziałam na dworze - mruknęła.

Wyszedł za nią i usiadł naprzeciwko, a ona szybko wsunęła stopy pod fotel. Wolą unikać nawet najmniejszego kontaktu fizycznego z Jackiem.

- Przepraszam za moje dzisiejsze zachowanie, Gino. Było godne żalosego smarkacza.

Święta prawda, pomyślała, biorąc głęboki oddech.

- Zastanawiałam się, czym sobie zasłużyłam na takie traktowanie - powiedziała cicho.

Jack na moment zacisnął usta.

- Sam tego nie rozumiem. To takie skomplikowane...

- Bynajmniej, Jack. - Już zdążyła wyciągnąć pewne wnioski. - Opowiedziałeś mi o Zoe i dziecku, po czym wszystko się zmieniło. Ty się

zmieniłeś - dodała z naciskiem. - Zacząłeś mieć mi za złe to, że wypytywałam cię na temat twojego małżeństwa. Zmusiłam cię do konfrontacji z tym, czego najchętniej byś nie wspominał.

Obserwował ją z zainteresowaniem, chyba zaskoczony faktem, że pokusiła się o interpretację jego dziwnego wysoku.

- Przekwalifikowałeś się na filozofa, Gino? Poczula wypieki na policzkach.

- Jestem pielęgniarką, Jack. Bezustannie dokonuję oceny ludzi i zdarzeń. - To tylko trochę dłużej trwa, gdy nie jestem obiektywna, dodała w myślach i zamrugła, by powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

Czy Jack pojmuje, jak bardzo ją zranił? Prawdopodobnie nie. Utkwiła wzrok w swoich dłoniach.

- Może powinieneś z kimś się spotkać. Przedyskutować to wszystko...

- Już to zrobiłem. Spojrzała na niego zaskoczona.

- Widziałem się z Piersem i Tashą.

- Och... - A więc to do nich tak się śpieszył, gdy obie z Cassie wzięły go na języki. Przycisnęła dłonie do twarzy i poczuła wilgoć. - Pomogło?

- Tak. Nawet bardzo - odparł cierpko.

Zerwała się ze zduszonym okrzykiem i nagle znalazła się na kolanach Jacka. A on chyba tylko na to czekał, bowiem bez wahania chwycił ją w ramiona i długo tulił do siebie.

W końcu lekko się odsunęła i dotknęła jego policzka.

- Co z nimi? Już wszystko w porządku?

- Czas pokaże. - Jack objął ją mocniej. - Ale prognozy są dobre. Tasha zrezygnowała z wyjazdu do Sydney. Postanowili spędzić kilka dni nad morzem. Pierś prosił, aby ci powtórzyć, żebyś wyznaczyła mu dyżury od poniedziałku.

- To mi się podoba. - Wstała, ale Jack znów posadził ją sobie na kolanach. - Sądysz, że Tasha też wróci do pracy?

- Chyba tak. - Cmoknął ją w szyję. - Gdy poczuje się emocjonalnie silniejsza.

- Brakowało nam jej. - Pogłaskała dłoń Jacka. - Umiała skłonić do współpracy nawet najbardziej krnąbrne dzieciaki. Przy Tashy uważały fizykoterapię za wspaniałą zabawę. Dziewczyna jest utalentowana. Mam nadzieję, że ona i Pierś doczekają się swojego małżeństwa. - Zadrzała, gdy Jack musnął palcami jej nagi brzuch.

- Lubisz, gdy na świecie dzieje się dobrze?

- A jeśli nawet? - Zjeżyła się lekko. - Co w tym złego?

- Nic. - Na wargach Jacka błąkał się żartobliwy uśmieszek. - To urocza cecha.

Spojrzenie jego błękitnych oczu nawet w przyćmionym świetle działało na nią hipnotyzujące

- A ty, Jack? Jak się czujesz?

- Wykończony, Jakby pusty w środku. - Oparł głowę o jej skroń. - Nie mogę sobie darować, że tak okropnie cię potraktowałem. - Wsunął dłoń pod jej koszulkę i ujął pełną pierś, jakby odczuwał dojmującą potrzebę bliskości, intymności. - Myślałem, że cię straciłem! - Udręka w jego głosie sprawiła, że z ust Giny wydarło się ciche zaprzeczenie.

- Potrzebuję cię, Jack. - Pieszczotliwie przesunęła palce po jego brodzie i szyi.

- A ja ciebie. Gino. - Zamknął ją w uścisku. - Tak bardzo jak powietrza.

- Zostaniesz? - Wtuliła się w niego.

- Jeśli chcesz...

Nie zdążyła złapać tchu, ponieważ wargi Jacka spoczęły na jej ustach - zaborcze i spragnione tego, na co już dłużej nie mogły czekać.

- Bądź ze mną szczerą - poprosił z udawaną powagą, zamykając żaluzjowe drzwi prowadzące na taras. - Czy twoje łóżko jest duże?

- Wystarczająco...

Gina poczuła ogarniające ją podniecenie, ale wraz z nim pojawiła się pewność, że postępuje słusznie. Pokochała tego mężczyznę i pragnęła z nim być. Nic innego nie liczyło się tak jak właśnie to.

- Muszę mieć mnóstwo miejsca - ostrzegł Jack, otaczając ją ramieniem.

Postąpili kilka kroków w stronę sypialni.

- Na pewno się zmieścisz - zapewniła z poważną miną.

- To łóżko królowej.

- Nie jestem pewien, czy podoba mi się to określenie - mruknął z nosem przy jej szyi.

- Jack... - Zaśmiała się nerwowo.

- To ja. - Opuścił ramię i przytulił ją do siebie.

Usłyszała dzwonięcie swoich zębów. Jack celowo żartował, aby trochę dodać jej otuchy. Kochała go za to jeszcze bardziej.

Powoli weszli do ciemnej sypialni i przystanęli.

- Jack... - Obróciła się w kręgu jego ramion. - Ja... nie robiłam tego od dawna.

- Ja też. - Odgarnął z jej skroni niesforny loczek i popatrzył na nią z czułością. - Będziemy się wspierać.

Stłumiła śmiech.

- Mówisz tak, jakby czekał nas spacer z użyciem „balkoników”.

- Tu mam lepsze wyzwanie. - Jack przesunął palcem po jej szyi i dekolcie aż do łagodnej wypukłości piersi. - Może po prostu pozwolimy, aby to się samo stało? - W jego głosie dźwięczały obietnice.

- Dobrze - szepnęła.

Chyba czekał na tę zgodę, bo natychmiast chwycił ją na rękę. Wielkie łożę powitało ich przyjemnym chłodem pościeli, a przenikające przez rosnący za oknem krzak jaśminu światło księżycy rzucało na ich ciała jedwabiste cienie.

Gina powoli, jakby we śnie, przykryła dłonią rękę Jacka, którą poczuła na piersi. Nad sobą widziała jego oczy płonące pożądaniem, słyszała urywany oddech.

- Jesteś taka piękna... - Poglaskał jej odrzucone w bok ramię. - Pragnę cię, Gino. Nawet sobie nie wyobrażasz jak.

Uniosła głowę, on się pochylił i ich usta spotkały się w pół drogi. Gina odniosła wrażenie, że coś cudownie między nimi zaiskrzyło. I właśnie w tym momencie zrozumiała, jak bardzo ufa Jackowi. Bezgranicznie.

Kocham cię. Jej serce powtórzyło te dwa krótkie słowa, a ona oddała się we władanie mężczyźnie, który był miłością jej życia.

Obudziła się całkiem bez powodu. Natychmiast powróciły wspomnienia, więc wyciągnęła rękę, by dotknąć Jacka. Ale jego przy niej nie było.

- Jack?

- Jestem tutaj. - Wszedł do sypialni.

- Och! - Odetchnęła z ulgą. - Myślałam, że poszedłeś.

- Zaraz wychodzę. - Przysiadł na brzegu łóżka. - Szukałem kartki, żeby napisać ci liścik. - Uśmiechnął się, a w kącikach jego oczu pojawiły się drobne zmarszczki. - Dzień dobry. - Cmoknął ją w szyję.

- Dzień dobry. - Gina cicho westchnęła. - Musisz wrócić do domu, żeby nakarmić zwierzęta?

- Również i po to, ale przede wszystkim powinienem też się przebrać. Rano mam spotkanie z burmistrzem.

- Jakieś ważne sprawy? - spytała zaciekawiona, chłonąc wzrokiem jego przystojną twarz o wyrazistych rysach i gładkiej cerze.

- Jeśli zdołam pociągnąć za odpowiednie sznurki, to będą masowe szczepienia dla nie ubezpieczonych dzieci - odparł, dotykając jej policzka.

- Przeciwno kokluszowi? - Potarła policzkiem o jego dłoń.

- Uhm. Derek i ja współpracujemy z lekarzami rodzinnymi, żeby zrealizować ten program. Oczywiście, powinni włączyć się również rodzice i szkoły. Wczoraj ustaliliśmy, że najpierw przekonamy radę miejską, a później, z jej pomocą, decydentów z ministerstwa zdrowia.

- Umiesz radzić sobie z biurokratami? - Gina zmarszczyła nos.

- Miewam momenty chwały. - Odgarnął jej włosy z czoła i palcem musnął jej twarz. - Muszę lecieć.

- Do zobaczenia w pracy.

Uprzytomniła sobie, że jej głos zabrzmiał zmysłowo. Oblizła wargi, zastanawiając się, w jakim punkcie znajduje się jej znajomość z Jackiem. Ale teraz nie mogła go o to pytać. Odwrócił się od drzwi i posłał jej spojrzenie pełne żaru.

- Poszło nam całkiem nieźle, prawda?

- Owszem. - Zarumieniła się uroczo. - Mimo tych „balkoników”.

Oboje parsknęli śmiechem, a Gina uśmiechała się jeszcze długo po wyjściu Jacka.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pod koniec tygodnia była skłonna uwierzyć, że noc z Jackiem tylko jej się przyśniła.

Prawie go nie widywała, a wczoraj wyjechał do Sydney na rozmowy z ministrami zdrowia i edukacji.

W zamyśleniu zdjęła z kozetki w pokoju zabiegowym nieświeże prześcieradło i wrzuciła je do pojemnika. Oby udało się zrealizować planowany program! Biedne maluchy nie musiałyby tak strasznie kaszleć.

Miała nadzieję, że Jack odniesie sukces. Kto jak kto, ale on zawsze daje z siebie wszystko, jeśli przyświeca mu jakiś cel. Ciekawe, czy w dzieciństwie też był takim uparciuchem i nigdy się nie poddawał?

Może kiedyś nadarzy się okazja, aby spytać o to jego matkę. Ta myśl uświadomiła Ginie, że ich znajomość weszła w nową fazę. I co dalej? Westchnęła melancholijnie. Szkoda, że nie umie przepowiadać przyszłości.

Bezwiednie wstrzymała oddech, oszołomiona siłą ogarniających ją uczuć. Czy ona i Jack mogą Uczyć na wspólną przyszłość?

- Pocztówka od Piersa i Natashy! - W drzwiach stanęła Dianę Lewis, machając kartką z widokiem błękitnego morza. - Przypnę ją do tablicy ogłoszeń w pokoju personelu.

- Dziękuję, Di. Dobrze się czują?

- Chyba tak. Tasha podobno uczy Piersa łowić ryby.

- On jest rzeczywiście cierpliwy... - zachichotała Gina.

- Myślisz, że jego żołądek też? - Dianę zmarszczyła nos. - Osobiście wole kupować gotowe filety. Patroszenie mnie przeraża. .

Pożegnały się uśmiechem i Ginie poprawił się humor. Czekał ją wolny weekend. Przy odrobinie szczęścia może zobaczy się z Jackiem.

W sobotę po południu skończyła sadzić flance wzdłuż płotu na tyłach domu, w pełni świadoma, że usiłuje zabić czas. Jack się nie odezwał, więc przypuszczalnie coś zatrzymało go w Sydney. Ale chyba mógł zadzwonić? To żaden kłopot... Zdjęła ochronne rękawice i nacisnęła końcówkę ogrodniczego węża, aby silnym strumieniem wody opłukać ręce.

- Wiedziałem, że cię tu znajdę!

- Jack! - Odwróciła się raptownie i upuściła wąż, który zaczął się wić jak szalony, ochlapując wszystko wokół.

Jack zaklął i podskakując raz w prawo, raz w lewo, próbował umknąć przed nie zamierzonym prysznicem.

- Gdzie kran? - ryknął, bezskutecznie starając się chwycić końcówkę węża.
- Za tobą. Przy płocie. - Gina zgięła się w pół ze śmiechu, przemoczona do suchej nitki i nieziemsko szczęśliwa.

Jack wrócił. Z rękami na kolanach obserwowała malejący strumyk wody.

- Żyjesz, Jack?

Odległość między nimi nagle zmaląła.

- Trzeba mnie uściskać - burknął, wyciągając ręce.

- Jestem cała mokra.

- Nie szkodzi. - Chwycił ją w ramiona i długo, namiętnie się całowali. - Ależ mi ciebie brakowało! - W jego oczach błysnęło pożądanie. - Spakuj trochę rzeczy i jedź ze mną do domu, Gino.

- Dobrze... - Musnęła palcami drobne zmarszczki w kącikach jego oczu. - Ale najpierw muszę się przebrać.

- Byle szybko. - Było jasne, jakie myśli chodzą mu po głowie. - Nie zamierzam spędzić kolejnej nocy bez ciebie. - Klepnął ją w pośladek i pociągnął do drzwi. - Chodź, pomogę ci.

Radosna jak ptak chwyciła z szafy pierwsze z brzegu ciuszki i zniknęła w łazience. Po chwili zapukał Jack.

- Nie ma czasu na prysznic, Gino. Musimy zaraz jechać. Skrzywiła się do zamkniętych drzwi i zajęła się sobą.

- Cóż za piękność! - Jack zaśmiał się cicho, gdy wyszła z łazienki w szortach i koszulce, z mokrymi włosami sterczącymi na wszystkie strony.

- Cóż za błazen! - Pokazała mu język. W sypialni ułożyła włosy na szczotce, czemu Jack przyglądał się z rozbawioną miną. - Lepiej? - Zerknęła na niego spod oka.

- Zdecydowanie. Gina? - Oczy leciutko mu się zwęziły.

- Tak? - Na widok wyrazu jego twarzy poczuła, że nagle zaschło jej w gardle.

- Zabierz pielęgniarzki strój na poniedziałek.

Zdjęła z wieszaka uprasowany uniform, położyła go na łóżku i zaczęła wrzucać drobiazgi do małej torby podróżnej. Czy niczego nie zapomniała? W myśli sprawdziła zawartość i z haczyka na drzwiach ściągnęła kostium kąpielowy.

- Tego nie potrzebujesz. - Jack przytrzymał jej rękę, a jego głos zabrzmiał miękko i aksamitnie.

- Ale... - Zaniemówiła z wrażenia. Będą pływać nago? On chyba żartuje!

- Daj spokój, Gino. - Ujął ją pod brodę i odwrócił twarzą do siebie. - Zaczynij cieszyć się życiem.

- Jack... - jęknęła niemal rozpaczliwie.

- Tylko pomyśl: woda jak jedwab, blask księżycy i my bez ubrań...

Zaparło jej dech, po ciele przeszła fala żaru.

- Ktoś mógłby przyjść...

- Na pewno wcześniej go usłyszymy. A psy zawsze szczekają na gości.

- A jeśli włączymy muzykę i nie zorientujemy się, że ktoś idzie? - Gina bezsilnie opadła w nogach łóżka. - Nie śmiej się! - zawołała groźnie, gdy dłonią zasłonił usta.

- Jesteś wstydliva! - Zdumiony tym odkryciem podniósł ją i chwycił w ramiona. - I taka słodka. Dlatego cię kocham. No chodź. - Cmoknął ją w usta. - Nie marnujmy reszty tego weekendu.

Podreptała za Jackiem, powtarzając w myśli jego słowa. „Dlatego cię kocham”. Na pewno powiedział to żartem, tylko tak sobie. Czemu więc poczuła się bezbronna jak dziecko?

Po przybyciu do Wongaree zanieśli jej rzeczy prosto do sypialni Jacka.

- Przez telefon poprosiłem Helen, żeby przewietrzyła dom - powiedział, stawiając torbę Giny na stoliku.

Gina z bijącym sercem prześlizgnęła się obok niego, aby powiesić ubrania w garderobie.

- To śliczny pokój.

Rozejrzała się trochę oszołomiona. Sypialnia była urządzona w kolorach zielonym i niebieskim. Oba zadziwiająco dobrze współgrały z białymi ścianami i staroświeckimi lampami o szklanych kloszach.

- Taki gustowny i... miły - dodała, poruszona pełną uroku prostotą wnętrza.

- Zanim się wprowadziłem, zmieniono wystrój wszystkich sypialni - odparł, wzruszając ramionami. - W porządku? - Patrzył na nią wymownie.

- Chyba tak...

- Więc chodź tutaj.

Posłuchała go. Z własnej i nieprzymuszonej woli. Jej przepełnione nadzieją serce drżało.

W niedzielny rano budziła się powoli i leniwie, z poczuciem cudownego bezpieczeństwa. Ramię miała przerzucone przez plecy leżącego na boku Jacka.

Wymówiła szeptem jego imię i poruszyła się leciutko.

- Cześć. - Otworzył jedno oko. - Dobrze spałaś?

- Uhm. - Pieszczotliwie powędrowała palcami po jego szyi i wsunęła je w puszyste włosy. - Chcę zobaczyć zimorodki.

- Ale marudzisz! - jęknął zaspanym głosem, ale Gina była pewna, że Jack się uśmiecha.

Postawiła na swoim. Wzięli prysznic, szybko się ubrali i zeszli do kuchni.

- Karmisz je codziennie? - Oparta o blat przyglądała się Jackowi krojącemu wyjęte z lodówki surowe mięso.

- Nie, ale kiedy mam trochę czasu, szykuję im prawdziwą ucztę. Chodź. Może dzisiaj się zjawia.

Wyszła z nim na zewnątrz i z udawanym przerażeniem zatkała uszy, ponieważ świergot ptaków był niemal ogłuszający.

- Oto nasza banda. - Jack położył kilka kawałków mięsa na drewnianej poręczy i się cofnął.

Gina z zapartym tchem obserwowała zimorodka o brązowo-białym upierzeniu, który ostrożnie zbliżył się do mięsa, przyjrzał mu się i chwycił jeden kawałek. Następnie trzepnął nim o poręcz i dopiero wtedy go połknął.

- Dlaczego tak zrobił?

- Łapią głównie żywe kaski. Chcesz nakarmić jednego?

Chyba żartuje? Gina pośpiesznie zrobiła krok wstecz. Ptaszysko z takim dziobem pewnie potrafi pozbawić palca.

- Wrabiasz mnie, Jack? - Zmierzyła go wzrokiem.

- Jakżebyś śmiał! - Z miną niewiniątka zaczął nucić urywek piosenki „Dzięki Bogu jestem wiejskim chłopakiem”.

- Bardzo śmieszne! - Prychnęła pogardliwie. - Spróbuję. - Zacisnęła zęby i wlepiła wzrok w mięso. - Pokaż mi jak.

- To łatwe. Odpręż się. - Położył kawałek mięsa na jej dłoni i wysunął ją do przodu.

Gina zamarła - i natychmiast się zdumiała, ponieważ ptak tylko lekko otarł się o jej rękę, chwytając kasek.

- Fantastycznie! - Spojrzała na Jacka roziskrzonymi oczami. - Zróbmy to jeszcze raz.

- Nie. - Przyglądał się jej z zachwytem. - Nie możemy rozbestwić tych głodomorów, bo wejdą nam na głowę. - Rzucił resztę mięsa na trawę.

Sami zjedli na śniadanie słodkie babeczki i wypili kawę.

- Nic mi nie powiedziałaś o spotkaniu w Sydney.

- Poszło dobrze. Nasza prośba jutro rano zostanie rozpatrzona. Odpowiedź dostaniemy może już we wtorek.

- Musiałeś wyrzucić na nich wrażenie. Przypuśćmy, że zatwierdzą ten program. I co potem?

- Wydział zdrowia przydzieli nam duże furgonetki z pełnym wyposażeniem i kierowcami. Jedna będzie krążyć na prowincji, a druga zostanie w mieście. Nasz personel będzie jeździł nimi na zmianę. Krótkie i częste dyżury to chyba optymalne rozwiązanie.

- Pamiętaj, że rodzice muszą współpracować.

- Będą. Na ogół nie są przeciwnikami szczepień, tylko o nich zapominają.

- A niektórzy pracownicy służby zdrowia lekceważą swoje obowiązki.

- Fakt. - Jack na ułamek sekundy zacisnął zęby.

- Pozwolisz, że zaplanuję na kolację coś szczególnego?

- Gina wstała i zajrzała go lodówki.

- Jasne, rozgość się.

- Chyba już mam to za sobą - stwierdziła żartobliwym tonem i chwyciła kulę z serwetki, którą Jack w nią cisnął.

- W lodówce jest prawie wszystko, czego potrzebuję. Braki zmuszą mnie do twórczej improwizacji.

Uśmiechnęli się do siebie.

- Wolno spytać o menu?

- To niespodzianka. Najlepiej nie wchodź mi w drogę, gdy zacznę marynować.

- Już uciekam. - Jack uniósł ręce i zaczął się wycofywać.

- Będę w stajni, gdybyś mnie potrzebowała. - Przelotnie ją uścisnął. - Ma przyjechać weterynarz, żeby zerknąć na jednego z koni.

- Myślałam, że jesteś samowystarczalny. - Podeszła do zlewu, aby opłukać naczynia.

- I słusznie. - Wyszedł, pogwizdując wesoło.

Wszystko było gotowe. Gina z zadowoleniem spojrzała na swoje dzieło.

Nakryła do kolacji w jadalni. Obrus, który znalazła w jednej z szuflad, był z bladobrzoskwiniowego lnu. Podkreśliła jego prostotę bogato rzeźbionymi srebrnymi świecznikami.

Stawiając na środku niedużego, okrągłego stołu wazonik z różami, uśmiechnęła się do siebie. Jack prawdopodobnie nie ma pojęcia, jakie domowe skarby zostawiła tu matka, aby cieszyły się nimi następne pokolenia. Cóż, jeśli Jack się kiedyś ożeni...

Na moment zacisnęła powieki. Nie powinna sobie pozwalać na takie rozważania. Mimo to poczuła dreszczyk emocji, gdy Jack zajrzał do pokoju. Cicho gwizdnął z podziwem i uśmiechnął się rozradowany.

- Podoba ci się? - Podniosła dłoń do serca. - Wybacz, ale pozaglądałam do szafek i szuflad...

Jego spojrzenie powiedziało jej, że szafki i szuflady są ostatnią rzeczą, która go teraz obchodzi.

- Wyglądasz zachwycająco, Gino.

Zarumieniła się, słysząc ten komplement, i musnęła dłonią wąski dół letniej sukienki bez rękawów.

- To taki ciuszek, który się nie gniece i można nosić go wszędzie.

- Wspaniale ci w tym kolorze. - Jack zapalił lampę i jej przyćmione światło otoczyło ich ciepłym kręgiem.

- W purpurowym? - Gina zaśmiała się nieco sztucznie.

- Bywa oznaką władzy, prawda?

- Na tobie kojarzy się raczej z namiętnością - oświadczył! krótko i poszedł wziąć prysznic oraz się przebrać, a Gina długą chwilę stała oszołomiona.

- Gdzie nauczyłaś się tak gotować? - Jack z rozanieloną miną przełknął ostatnią łyżeczkę waniliowego kremu.

Wzruszyła ramionami.

- U mamy. Pichcenie szło mi lepiej niż Anne-Maree i Vanessie, więc chyba częściej ćwiczyłam.

Powoli podniósł wzrok z pustej już szklanej miseczki na Ginę.

- Moglibyśmy uczynić z tego codzienny zwyczaj. Otworzyła usta ze zdziwienia i spróbowała obrócić jego słowa w żart.

- Przeceniasz mnie, Jack. Doba musiałaby się wydłużyć, żebym codziennie tak pieściła obiad. - Trochę drżącymi palcami zgmiotła papierową serwetkę i położyła ją obok talerza.

- Po całym dniu w szpitalu dostałbyś raczej tylko fasolkę i grzanki!

- Wyjdź za mnie, Gino - powiedział po chwili milczenia. Oniemiała z wrażenia.

- Tak jak teraz też jest nam dobrze - wyjąkała, kiedy wreszcie odzyskała głos.

- Chcę, żebyśmy stali się prawdziwą parą, Gino. Małżeńską.

Poczuła skurcz w żołądku.

- Nie sądzisz, że to trochę staroświeckie? - Rany boskie, dlaczego próbuje go zniechęcić? Przecież marzyła o ślubie z Jackiem, śniła o nim po nocach...

- Myślałem, że mnie kochasz. I że mi ufasz. - Jack na moment zacisnął usta.

- Bo tak jest! - Zamrugła, aby powstrzymać dławiące w gardle łzy. - Ale małżeństwo to... to wielkie zobowiązanie.

- A moje referencje mnie dyskwalifikują. - Patrzył na nią ponuro.

- Jack, przestań... - Zacisnęła pięści, aż poczuła wbijające się w skórę paznokcie.

- Co mam przestać? - prychnął gniewnie. - Do licha, poprosiłem cię o rękę, a nie o samobójczy skok z mostu w Sydney!

Może to byłoby łatwiejsze, przemknęło jej przez głowę.

- Nie mogę teraz dać ci odpowiedzi.

Powiedziała to ostrym tonem, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Była jednak bliska paniki. Ich związek może przecież okazać się nieudany, mimo starań z obu stron. W końcu małżeństwo Jacka się rozpadło. Podobnie jak małżeństwo jej rodziców. A wskaźnik rozwodów jest niebotycznej wysokości. Lecz gdyby tak oboje dali z siebie wszystko...

- Wolałabym teraz o tym nie mówić, Jack. - Zerwała się z krzesła. - Potrzebuję trochę przestrzeni.

- Będę powtarzał tę prośbę, Gino. Poczowała wilgoć pod powiekami.

- Przyniosę kawę.

W pielęgniarstwie odzyskała równowagę ducha. Na widok wchodzącego do kuchni Jacka postanowiła traktować ten poniedziałkowy ranek jak każdy inny.

Jack też był już gotowy do wyjazdu. Miał na sobie jasne płócienne spodnie, ciemnoszarą koszulę i czerwony krawat. Wyglądał jak ktoś wybierający się do pracy, co pomogło Ginie nabrać zdrowego dystansu do sytuacji.

- Są owoce i grzanki, zaparzyłam też herbatę. Nie wiedziałam, czy jadasz jakieś płatki śniadaniowe.

- Wystarczy to. - Jack odsunął nogą siedzącego pod stołem Misty'ego. - Nakarmiłaś kota?

- Nie byłam pewna, co jada.

- Za dużo wszystkiego - burknął, otwierając puszkę. Zawołał Misty'ego na patio i zostawił mu na kafelkach miskę z jedzeniem. W kuchni umył ręce i usiadł przy stole.

- W nocy bez przerwy przewracałaś się z boku na bok, Gino. - Sięgnął po banana i zaczął go obierać.

- Przepraszam...

Nagle zaschło jej w ustach. Prawdę mówiąc, w ogóle nie chciała tej nocy spać z Jackiem w jednym łóżku. Wolałaby zostać sama i wszystko przemyśleć. Westchnęła ciężko. Może raczej powinna teraz powiedzieć Jackowi, że za niego wyjdzie, i mieć to z głowy. Pozwolić przyszłości zatroszczyć się o ich los.

- Jesteś błada - stwierdził Jack tonem lekarza. Omal się nie udławiła.

- Nie wyspaliśmy się. - Popatrzył na nią spod oka i zaczął smarować grzanekę marmoladą. - Ciekawe dlaczego?

Poczuła, że się rumieni. Tej nocy też się kochali, ale tak rozpaczliwie, że wcale ich to nie odprężyło. A później Gina długo nie mogła zasnąć. Była zagubiona i trochę się bała - za nich oboje.

Parę minut później pobiegła na górę umyć zęby i prawie zderzyła się z Jackiem. Właśnie wychodził na korytarz i przytrzymał ją, gdy się zachwiała.

- Spakowałaś torbę?

- Tak, stoi na stoliku.

- Wezmę ją i wyprowadzę samochód. Wychodząc, po prostu zatrzasknij drzwi.

Wkrótce ruszyli w drogę.

- Chyba jesteś trochę spięta. Za bardzo się pośpieszyłem? - spytał Jack, gdy wyjechali z Wongaree.

Spojrzała na niego tępo.

- Mówiąc o małżeństwie - dodał tonem wyjaśnienia.

- Cóż, trochę mnie zaskoczyłeś. - Mocno spłótła dłonie na kolanach.

- Naprawdę? - Wydawał się szczerze zdziwiony. - Sądziłem, że to kolejny logiczny krok.

- Nie boisz się?

- Jasne, że tak. Już raz poniosłem klęskę, ale to nie znaczy, że nie jestem gotów znów spróbować. Wierzę w nas, Gino.

- Ja też - szepnęła.

- Więc...?

- Jack, proszę cię... Daj mi trochę czasu.

- Nie cierpię tego powiedzenia. - Niebieskie oczy Jacka załśniły. - Albo jesteśmy parą, albo nie,

Albo oboje tylko łudzimy się nadzieją. Gina westchnęła i odwróciła głowę do okna. Przesunęła wzrokiem po licznych mrowiskach i nagle coś zauważyła.

- Jack! Zatrzymaj się! - Chwyciła go za ramię. - Spójrz tam. Czy to nie szkolny autobus?

Zahamował gwałtownie i spojrzał we wskazanym kierunku. To, na co oboje patrzyli, wyglądało przerażająco. Autobus dowożący dzieci do szkoły najwyraźniej zjechał z drogi, skosił płot i zsunął się do głębokiego rowu. W tej chwili stał mocno przekrzywiony na bok, jakby zaraz miał się przewrócić.

- Jack... - Ginie na sekundę zrobiło się słabo. - Bliźniaczki Brendy...

- Może jeszcze ich nie zabrali. - Jack rzucił jej swój telefon komórkowy. - Pogotowie, policja, straż pożarna. - Chwycił lekarską torbę i wyskoczył z samochodu.

Gina wystukała trzycyfrowy numer i usłyszała, że pomoc już jedzie. Wezwał ją mieszkający w pobliżu farmer.

- Czas przybycia?

- Pięć minut.

Wyłączyła telefon i zaczęła zbiegać w dół. Teren był stromy i nierówny, toteż bez przerwy się potykała. Od biegu paliło ją w płucach, ale nie zwolniła, przerażona wizją możliwej katastrofy i niebezpieczeństwem, które mogło zagrozić również Jackowi.

Dotarła na dół, ciężko dysząc.

- Jack, uważaj. Benzyna może wybuchnąć...

- Może. - Usiłował zerwać uszczelkę wokół tylnej szyby. - Kiepsko mi idzie - przyznał. - Mam tylko nożyczki i śrubokręt. Pomoc w drodze?

- Zaraz tu będą.

Dłonią osłoniła oczy przed oślepiającym słońcem i wlepiła wzrok w szybę. Ujrzała za nią dziecięce buzie. Maluchy chyba się uśmiechały, a niektóre machały rękami. O Boże, spraw, żeby nie odniosły poważnych obrażeń, pomyślała błagalnie.

- Co z kierowcą?

- Nie wiem. - Jack mocnym szarpnięciem wyrwał kolejny kawałek uszczelki. - Pewnie ma kłopoty.

Po chwili zjawily się błyskające światłami pojazdy służb ratowniczych. Wóz strażacki zatrzymał się najbliżej i natychmiast wyskoczył z niego młody oficer.

- Witajcie! - Zasalutował, dotykając palcem hełmu, i zerknął na rezultat wysiłków Jacka. - Nieźle, doktorze - stwierdził z posępnym uśmiechem. - Ale przyda się pomoc, prawda? - Specjalnym narzędziem w kilka sekund

usunął całą uszczelkę i szybę. Następnie wsadził głowę do wnętrza autobusu.
- Uwaga, dzieciaki! Najpierw niech wyjdą najmłodszy. Chodźcie tutaj!

- Musimy urządzić polowe centrum pomocy medycznej, Gino - stwierdził Jack, gdy przyniesiono drabinę i dzieci zaczęły wychodzić na zewnątrz. Wszystkie odprowadzono w cień pod rozłożystym drzewem. - I miejmy nadzieję, że ktoś pomyślał o przywiezieniu wody. W tym autobusie jest gorąco jak diabli.

Jako jedni z ostatnich wygramolili się ośmioletni bliźniacy Brendy, Liam i Joshua.

- Och, Joshy! - Gina podbiegła do chłopca. Miał oszołomioną minę i przyciskał do ust zakrwawioną rączkę.

- Ma wybity ząb - wyjaśniła nastolatka, która wyraźnie wzięła pod swoje skrzydełka obu malców. - Wisi dosłownie na włosku. Kazałam Joshowi go nie dotykać i nie otwierać ust. - Przejęta swoją rolą dziewczynka przeniosła wzrok z Giny na Jacka. - Dobrze zrobiłam?

- Doskonale - pochwaliła ją Gina i serdecznie objęła chłopców.

- Niedawno ukończyłam kurs pierwszej pomocy - nieśmiało dodała dziewczynka.

- A tobie coś się stało? - Jack zauważył, że nastolatka przygryzła wargi.

- Tylko rozbiłam sobie kolana. - Z żalem spojrzała na porwane rajstopy. - Ale mogło być dużo gorzej, prawda? - Usta jej zadrżały, a w oczach pojawiły się łzy. Szybko je otarła.

Jack poklepał ją po ramieniu i przekazał jednej z pielęgniarek, po czym zaklął pod nosem. Biedne dzieciaki. Będą potrzebowały fachowej terapii, żeby zwalczyć skutki szoku. Oby szkoły, do których chodzą, zatrudniały doświadczonych psychologów.

- Mama przyjedzie? - Mały Liam pociągnął Ginę za nogawkę spodni.

Jack znów spojrzał na miłe dla oka trio. Gina. Nagle zaczęło dławić go w gardle. Byłaby wspaniałą matką. Gina i dzieci. Gina i jego dzieci. Mało prawdopodobne. Zacisnął usta. Gina zręcznie wymigała się od takiej roli.

- Lepiej ty i Josh pojedźcie do mamy. - Jack położył dłoń na głowie chłopczyka. - Zadzwoń z telefonu komórkowego do Brendy, dobrze? - poprosił Ginę i zerknął na zegarek. - O tej porze na pewno już jest w szpitalu.

- To będzie dla niej trudne, bo jest sama. Jej mąż pracuje w Arabii Saudyjskiej.

- Da sobie radę. - Głos Jacka zabrzmiał sucho. - Brenda to wcielenie pozytywnego nastawienia.

Czy to była przejrzysta aluzja do mnie? Ginie na moment zrobiło się gorąco. Co się stało z dotychczasową serdecznością, którą sobie okazywali? Dlaczego nagle zniknęło wzajemne zrozumienie i czułość? W tej chwili nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, że znów jest jej dobrze w towarzystwie Jacka. I poczuła się tak, jakby po omacku brnęła przez gęstą mgłę.

- Pobieźnie ich zbadam i Josh jak najszybciej powinien znaleźć się u dentysty. Załatwię, żeby zabrała ich pierwsza karetka. Na chirurgii może przejmie ich Brenda. Zawiadom ją, dobrze?

Gina sięgnęła po komórkowy telefon. Jeśli ząb Josha ma zostać uratowany, to liczy się każda sekunda. Na szczęście były powody do optymizmu. Ząb pozostał w ustach, w naturalnej temperaturze ciała, toteż istniała duża szansa na regenerację nerwów.

Z westchnieniem rozejrzała się wokół. Chyba nic więcej nie może zrobić. Zawiadomieni o wypadku rodzice już zabrali swoje pociechy, a pozostałymi dziećmi zajął się personel pogotowia.

Uwolnienie kierowcy z wgniecionego autobusu zajęło sporo czasu i wymagało użycia specjalistycznego sprzętu do cięcia metalu. Strażacy rozłożyli na ziemi nieprzemakalną płachtę. Jack właśnie badał rannego.

Gina wolnym krokiem podeszła do kręgu mężczyzn.

- Co z nim? - spytała pielęgniarkę Jamiego Sullivana.

- Ma parę złamanych żeber.

- Już wiadomo, co się stało?

- Nie wygląda to dla niego dobrze. - Jamie potarł podbródek. - Lekarz polecił sprawdzić zawartość alkoholu we krwi.

- Sugerujesz, że był pijany? - Bezwiednie podniosła głos, zaszokowana słowami pielęgniarki. - Mógł zabić te wszystkie dzieci!

- Podobno właśnie rzuciła go żona.

- To nie usprawiedliwia narażania innych na śmiertelne niebezpieczeństwo! - zawołała wzburzona. - Do czego ten świat zmierza?!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Co go czeka? - Odprowadziła wzrokiem karetkę, która zabrała rannego kierowcę.

- To już sprawa policji. - Jack lekko się skrzywił. - Facet próbował mi wmówić, że zemdłał. Raczej zamrocył go alkohol!

Oboje powoli wdrapali się na stok. Gdy podeszli do samochodu, Gina spojrzała w dół, gdzie leżał przewrócony żółty autobus. Oprócz niej i Jacka wszyscy już odjechali. Wokół panowała niczym nie zmacona cisza. Nagle przerwało ją stado siewek, które jak szary obłok zerwały się nad bagnami do lotu, skrzecząc jękliwie.

- Oddałbym królestwo za prysznic. - Jack otworzył drzwi i oboje wsiedli do samochodu. Było w nim piekielnie duszno. - Wytrzymasz ten zaduch? - Zerknął na Ginę. - Klimatyzacja zaraz zacznie działać.

- Nie ma problemu.

Przyglądała potargane włosy. Co za początek tygodnia! A należało się spodziewać jeszcze innych atrakcji. W szpitalu pewnie huczy od plotek, ponieważ już wszyscy wiedzą, że spędziła weekend z Jackiem w Wongaree.

Westchnęła ciężko i skarciła się w duchu za takie myśli. Jej przeżycia nie miały porównania z tym, co przeszły dzisiaj te dzielne dzieciaki.

- W takich sytuacjach człowiek wierzy, że gdzieś tam jest Bóg, prawda? - Jack spojrzał na nią spod oka.

- Opatrzność niewątpliwie czuwała nad tymi dziećmi.

- Jak wygada bilans obrażeń? - Jack przycisnął wnętrze dłoni do oczu i przez chwilę rytmicznie poruszał ramionami. - Wszystko mi się miesza.

Gina miała ochotę zamruczeć kojąco i przytulić go.

- Może ja poprowadzę, Jack? Chyba jesteś wykończony. Raptownie otworzył oczy i dostrzegł w jej spojrzeniu cień napięcia. Może przygnębienia?

- Nie bardziej niż ty - odparł z zasepioną miną i zapalił silnik. - Więc co z tymi obrażeniami?

- Urazy kręgosłupa szyjnego u kilkorga starszych dzieci. Skręcenie nadgarstka. Trochę skaleczeń i otarć naskórka, w jednym przypadku należy założyć szwy. I oczywiście biedny Josh.

- Może zadzwonisz do szpitala i spytasz o Brendę?

- Zbierajmy się, Julie. - Jack zdjął biały fartuch i wrzucił go do pojemnika.

- Zaraz skończę.

- Już się napracowałam - rzekł i zasłonił ręką ekran komputera. - To piątkowe popołudnie. Zamykamy.

- Dobrze, szefie. - Pielęgniarka Julie Weston odchyliła głowę na oparcie krzesła, a gdy ją odwróciła, aby spojrzeć na Jacka, jej jasne włosy musnęły go w bark. - Wykonaliśmy dzisiaj sto czterdzieści szczepień. Możesz w to uwierzyć?

- Bez trudu - oświadczył, gimnastykując ramiona. - Wracasz do domu w ten weekend?

Przysunął jej plik dokumentów. Julie należała do przysłanego z Sydney zespołu, który pomagał zainauguować program szczepień.

- Chyba nie warto. - Przez chwilę masowała sobie kark.

- W połowie przyszłego tygodnia zakończymy akcję. A ty? - Spojrzała na niego spod rzęs wielkimi, zielonymi oczami.

- Jakie masz plany na ten weekend?

- Spokojnie poczekam na rozwój sytuacji. - Jack umknął w głąb furgonetki.

Julie odprowadziła go wzrokiem. Facet jest zabójczo przystojny, ale nie wykazuje za grosz inicjatywy. Wstała i przerzucając pasek torebki przez ramię, przystąpiła do ataku.

- Nasza grupa umówiła się na drinka w pubie. Spotykamy się około siódmej. Może się przyłączysz?

Zrobił niezdecydowaną minę, więc Julie sięgnęła po decydujący argument:

- Nasz kolega ma urodziny. Wypijemy za jego zdrowie.

- Ach tak... - Jack nagle się odprężył.

Co się z nim ostatnio dzieje, u licha? W błyskawicznym tempie staje się odludkiem. Zacisnął usta. Od dawna nie miał okazji porozmawiać z Giną, ale ona też nie wykazywała zainteresowania jego osobą. Potarł dłonią szczękę. Nie zaszkodzi trochę się rozerwać. Może właśnie tego mu trzeba.

- To do zobaczenia. - Julie machnęła na pożegnanie ręką.

- Julie! - Wystawił głowę na dwór. - W którym pubie się spotykacie?

- W Shearer's Rest - odparła z uśmiechem, zsuwając przeciwsłoneczne okulary na czubek nosa. - Pewnie będziemy w ogródku dla piwoszy.

Jack późno zakończył obchód. Patrząc na zegarek, doszedł do wniosku, że chyba nie zdąży do pubu. Musiał jeszcze skoczyć do domu, by wziąć prysznic i się przebrać.

Godzinę i jakieś tysiąc wątpliwości później wkroczył do Shearer's Rest w eleganckiej dzielnicy Hopeton. W otoczonym drewnianym płotkiem ogródku

panował tłok. Nic dziwnego, pomyślał, idąc wzdłuż ściany bujnych, tropikalnych paproci, które muskały go w ramię. Przecież to piątkowy wieczór.

Przystanął i rozejrzał się wokół, szukając wzrokiem znajomych. W końcu zauważył ich w głębi ogródka, za łukowatym przejściem. Siedzieli przy kilku zsuniętych ze sobą stolikach. Już z daleka rozpoznał jasnowłosą głowę Julie. Byli też prawie wszyscy inni członkowie zespołu z Sydney, a także Pierś i Tasha. Miło, że już są w lepszej formie. Przyszła także Cassie, elokwentna jak zawsze, i Brad, uważnie wsłuchany w każde jej słowo. I Gina. W czerwonej sukni.

Natychmiast zmarkotniał. Dlaczego, u licha, nie przewidział, że Gina też tu będzie? Spostrzegł, że na jego widok wyraźnie się zaczerwieniła, a jej nozdrza lekko drgnęły. Jak to możliwe, pomyślał zasepiony, że stosunki między nimi popsuły się aż do tego stopnia?

Powitał wszystkich naraz i zajął miejsce, które zrobiła dla niego Julie.

Gina przełknęła kęs i poczuła jego ciężar w żołądku. Dlaczego, na miłość boską, dała namówić się Cassie na ten wieczór w pubie? A kiedy już sądziła, że dyskretnie się stąd wymknie po pierwszej kolejce drinków, wszyscy zaczęli zamawiać jedzenie. Siedziała więc teraz nad talerzem z wielkim befsztykiem, na który nie miała najmniejszej ochoty, i udawała, że wspaniale się bawi.

Gniewnie dziabnęła widelcem frytkę i westchnęła. Nigdy nie przypuszczałyby, że Jack tu przyjdzie. To miejsce chyba nie jest w jego stylu. Ale ją też trudno uznać za bywalczynię pubów.

Poczuła się strasznie zażenowana, gdy Jack usiadł obok tej blond seksbomby z Sydney.

- Może kawałek aromatycznego chlebka, Gino? - Cassie przysunęła jej koszyk z pieczywem. - I rozchmurz się, skarbeńku. Tamten osobnik wygląda jak wcielenie udręki.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Gina zaczęła się znęcać nad sałatą.

- Ze mu na tobie zależy!

- Uhm! - mruknęła i spojrzała na Jacka, a on na nią. Pośpiesznie odwróciła wzrok, jeszcze bardziej zakłopotana.

W końcu zabrano talerze, lecz nikt nie prosił o kawę. Niektórzy zamówili kolejnego drinka, inni ruszyli na parkiet.

Gina jęknęła w duchu, gdy Brad i Cassie poszli tańczyć, a ona została sama przy stole. Może teraz zdoła wymknąć się po angielsku. Zanim jednak

podjęła decyzję, Jack nagle położył ręce na jej ramionach. Podniosła głowę, z lekka oszołomiona.

- Chodźmy stąd - powiedział.

- Dokąd idziemy? - spytała niepewnie, gdy wyprowadził ją na zewnątrz.

- Tam, gdzie można spokojnie porozmawiać. Ta idiotyczna sytuacja musi się skończyć.

Gina wyraźnie zbladła.

- Nie pojedę z tobą do domu, Jack.

Prychnął rozjątrzony.

- Powiedziałem „porozmawiać”, Gino. Nic więcej. Przyjechałaś samochodem?

- Taksówką. - Spojrzała na niego niechętnie. - Nawet nie zdążyłam dopić wina.

Jack z zadowoleniem kiwnął głową.

- Tam jest mój samochód. Daj rękę.

Podczas jazdy parę razy zerknęła na niego dyskretnie.

- Wolno spytać, dokąd jedziemy?

- Do szpitala. Muszę sprawdzić stan dziewięcioletniej Domiki Palacios.

Przyjęto ją dziś wieczorem.

- Co jej jest? - W Ginie natychmiast odezwał się instynkt troskliwej pielęgniarki.

- Jej rodzice powiedzieli, że spadła z trapezu.

- Co takiego?

- Też się zdziwiłem. - Lekko wzruszył ramionami. - Ta rodzina jest zatrudniona w cyrku, który właśnie przyjechał do miasta.

- Tak, widziałam plakaty. Jak doszło do wypadku?

- Z tego, co wiem, dzieciaki trochę rozrabiały, a rodzice byli czymś zajęci.

Na szczęście trapez nie wisiał wysoko.

Gina bezwiednie się wzdrygnęła.

- Są powody do niepokoju?

- Wolę być ostrożny. - Skręcił na szpitalny parking. - Dzieciak ma na głowie guza wielkości gęsiego jaja i nie pamięta upadku.

- Szczęście, że rodzice okazali się rozsądni i ją tu przywieźli.

Dobrze wiedziała, jaki ważny jest okres obserwacji w przypadku tego typu urazów, każde bowiem pogorszenie stanu zdrowia może być natychmiast wykryte dzięki stałemu monitoringowi.

- Zlecisz prześwietlenie?

- Jeszcze nie. - Jack wjechał na wolne miejsce. - Na razie zatrzymam ją na czterdzieści osiem godzin. - Zgasił silnik. - Idziesz?

- Może lepiej od razu dać ogłoszenie w prasie? - Gina spojrzała znacząco na swą strojną suknię, a potem na haftowaną srebrem koszulę Jacka.

Zachichotał rozbawiony. W uszach Giny zabrzmiało to trochę zgrzytliwie, ale tak czy owak był to śmiech.

- Więc posłuchaj muzyki. - Jack znów przekręcił kluczyk w stacyjce. - Zaraz wracam.

- Nigdy tu nie byłam.

Gina rozejrzała się po eleganckim wnętrzu kawiarni. Dominowały pastelowe barwy, a piękne drewniane meble lśniły w ciepłym świetle miedzianych lamp.

- Jesteśmy na neutralnej ziemi. - Jack spojrzał w kartę dań. - Na co masz ochotę?

- Ty wybierz. - Słyszała ogłuszające dudnienie swego serca. Wątpiła, czy zdoła cokolwiek przełknąć.

- Zamówimy dzbanek kawy i coś dodającego energii. Na przykład sernik z orzechami. Jak to brzmi?

- Tucząco. - Uśmiechnęła się blado.

Po odejściu kelnera Jack pochylił się nad stołem i wziął ją za rękę.

- Minęły już trzy tygodnie, Gino. - Odwrócił jej dłoń i pogłaskał jej wnętrze palcami.

Spojrzała na niego i zapało jej dech.

- Do licha, Gino! Co się zmieniło? - Mimo przyciszonego tonu w głosie Jacka brzmiała frustracja.

- Po prostu mnie zaskoczyłeś. Nie przyszłoby mi do głowy, że się oświadczysz. Nie spotykaliśmy się aż tak długo.

- Bzdury pleciesz! Od dawna pracujemy razem w ekstremalnie wymagającym środowisku. Znamy się bardzo dobrze, od każdej strony.

To prawda, pomyślała. Jack oczywiście ma rację. Wiedziała, że gra na zwłokę, tylko po co? Żeby wszystko jeszcze bardziej skomplikować? Delikatnie uwolniła rękę.

- Spróbuję ci wyjaśnić przyczyny moich wątpliwości, jeśli... - Urwała, ponieważ kelner właśnie przyniósł zamówioną kawę i ciasto.

- Wciąż odkładamy tę rozmowę, lecz może najpierw zjedzmy, dobrze? - zaproponował Jack.

Wkrótce dolał im obojgu kawy i pytająco popatrzył na Ginę, lecz ona milczała.

- Mów - poprosił. - Wiesz, że nie gryzę.

Spojrzała na swoje mocno splecione dłonie i zawahała się.

- Pewnie uznasz mnie za paranoiczkę.

- Nie - zapewnił łagodnie. - Zaufaj mi. Wzięła głęboki oddech.

- A jeśli nasze małżeństwo okaże się nieudane?

- Uczynimy wszystko, co w naszej mocy, żeby tak się nie stało - zapewnił z przekonaniem.

- I żadne z nas nie ucieknie, gdyby zaczęło nam się nie układać?

W zamyśleniu potarł czoło.

- Czy te obawy mają związek z twoją sytuacją rodzinną? Z odejściem ojca?

- Cóż, nie był znany z małżeńskiej wytrwałości

- Dlatego ty starałabyś się jeszcze bardziej, żeby twój związek był harmonijny?

- Oczywiście. Ale przecież nie ma żadnych gwarancji.

Sam to kiedyś powiedziałeś.

Długo patrzył na nią w milczeniu.

- Do czego zmierzasz, Gino? - spytał w końcu. - Dajesz mi kosza?

- Nie, skądże! - Usta lekko jej zadrżały. - Ale jestem przerażona. Śmiertelnie.

Ujął jej dłoń i mocno ścisnął.

- Nie zapominasz o czymś? Przecież będziemy razem. Do małżeństwa trzeba dwojga...

- I tylko jednej osoby, żeby się rozpadło - przerwała mu i na widok jego miny pośpiesznie dodała: - Pamiętam, co się działo, gdy ojciec odchodził. Moja matka płakała, lecz jego to wcale nie obchodziło. I tak nas zostawił.

- Pytałaś matkę, dlaczego się rozeszli?

- Tak, kiedy miałam szesnaście lat. Ale niczego się nie dowiedziałam. Mama strasznie się zdenerwowała. Podobno starała się, jak mogła. I spytała, czy nie byłam szczęśliwa. Byłam. Naprawdę. - W jej oczach błysnęły łzy.

Podał jej chusteczkę.

- Masz jeszcze trochę urlopu? - spytał nieoczekiwanie.

- Chyba tak. Tydzień, może dwa.

- Więc jedź zobaczyć się z matką. Wyjaśnij wszystko.

- Ale... - Patrzyła na niego zdumiona.

- Wyjaśnij wszystko - powtórzyl. - Albo ja to zrobię.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Po powrocie z urlopu szła do szpitala trochę niepewnie, ponieważ znów odezwały się nerwy. Szybko jednak o nich zapomniała, ponieważ zespół powitał ją z otwartymi ramionami. Oraz kwiatami.

- Jesteśmy najlepszymi klientami kwiaciarni pod arkadami - wesoło oznajmiła Krista, wręczając Ginie wielki bukiet kolorowych gerber. - I nikt bardziej od ciebie nie zasługuje na te roślinki.

Rozległo się zbiorowe potakiwanie.

Gina ze wzruszeniem popatrzyła na uśmiechnięte twarze.

- Bardzo wam dziękuję. Są przepiękne. Mam wrażenie, że wróciłam po roku, a nie po dwóch tygodniach - rzekła z uśmiechem.

Pierś mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Tasha już pracuje - mruknął.

- Och, to wspaniale!

- I wzięła Daniela za twarz - bez ogródek wypaliła Megan, najwyraźniej zadowolona z rozwoju sytuacji. - Dzieciak sam się dziwi, że tak mu odbiło. Tasha świetnie sobie z nim radzi. Już chodzi z nim na małe spacerki. I wiesz co? - Dla lepszego efektu na moment umilkła. - Smyk już zapomniał, jak się marudzi!

Wszyscy parsknęli śmiechem.

- Och, Brenda. - Ginie kręciło się w głowie ze szczęścia. - Jak tam Josh?

- Naprawdę dobrze. Podczas ferii muszę zawieźć go do specjalisty w Sydney, ale na razie ząb jakoś się trzyma. - Brenda obrzuciła ją ciepłym spojrzeniem. - Ten urlop chyba ci się przydał, Gino. Wyglądasz wspaniale.

- Dzięki. Czuję się fantastycznie - przyznała i nagle ujrzała Jacka.

Ale mogła z nim porozmawiać dopiero pół godziny później. Z bijącym sercem zapukała do drzwi gabinetu.

- Jack...

Był najwyraźniej pochłonięty pracą i minęła chyba cała wieczność, zanim podniósł głowę.

- Witaj, Gino.

- Mam tyle do opowiadania... - Uśmiechnęła się do niego ciepło.

- Wszystko w porządku?

- Tak. Moglibyśmy po pracy pojechać do domu? Odchylił się do tyłu i skrzyżował ramiona.

- Masz na myśli dom w Wongaree?

Skinęła głową, a w niebieskich oczach Jacka błysnęło zadowolenie.

- Skończę dyżur wcześniej - oświadczył. - Przyjadę po ciebie około piątej.

- Opowiesz mi teraz wszystko, kochanie?

Cmoknął ją w skroń. Leżeli w jego łóżku, a przez zasunięte zasłony przenikały do środka ostatnie promienie zachodzącego słońca.

- Cóż to była za rodzinna wizyta, doktorze!

- Podoba mi się ten wstęp. - Spojrzał na nią czule. - Wygodnie ci?

- Uhm.

- Więc mów? Rozmawiałaś z mamą?

- Tak. I z tatą... - Przysunęła się bliżej i pocałowała Jacka w ramię. - Zaraz po przyjeździe wzięłam mamę w obroty. Nawet się nie zdziwiła. Podobno spodziewała się, że wcześniej czy później znów zacznę zadawać jej te pytania. Powiedziała, że ona też ponosi winę za rozpad swojego małżeństwa, ponieważ nigdy nie chciała tego, czego pragnął ojciec.

- A czego pragnął? - Jack musnął wargami czubki jej palców.

- Podróżować. Przekonać się, jak wygląda życie w różnych krajach. Ale oboje nie mieli na to pieniędzy. Aż pewnego dnia tato otrzymał ofertę pracy na Hawajach. Chodziło o angaż w amerykańskiej firmie, która miała pokryć koszty przelotu dla całej rodziny.

- Ale twoja matka nie pojechała?

- Nie. Była przerażona wizją wyjazdu. Wolała zostać ze swoimi trzema córeczkami w bezpiecznym, dobrze znanym świątku. Ojciec nie zdołał jej przekonać.

- Wyjechał?

- Tak. Ale wrócił po roku i znów usiłował namówić mamę, żeby z nim pojechała. Ona zaś oświadczyła, że już za późno...

- Nie zobaczył się z dziećmi? Gina westchnęła.

- Mama zapewniła go, że jest nam dobrze, a on nie chciał niepotrzebnie mącić nam w głowach.

- Jakie to smutne...

- Owszem. Nie miałam też pojęcia, że przysyłał nam pieniądze. - Gina umilkła i w pokoju zapanowała cisza, przerywana jedynie szmerem oddechów. - Mama dała mi numer jego telefonu w Honolulu. Zadzwoiłam do ojca, Jack. Nie wiedziałam, czego się spodziewać, ale musiałam spróbować!

- Oczywiście. - Chwycił ją w ramiona, do głębi wstrząśnięty jej cichym płaczem. - Moja dzielna dziewczynka. - Przytulił policzek do jej twarzy.

Gina pociągnęła nosem.

- Ojciec bardzo się ucieszył. Nawet był zachwycony. Powtórnie się ożenił. Jego żona ma na imię Moana. A ja mam siedemnastoletniego przyrodniego brata Luisa...

Już dłużej nie mogła powstrzymać się od płaczu. Ulga i radość znalazły ujście we łzach. Jack pozwolił jej się wypłakać.

- Już dobrze? - spytał po długiej chwili.

- Tak. - Roześmiała się, walcząc teraz z czkawką. - Właśnie teraz do mnie dotarło, że mam prawdziwą, liczną rodzinę.

- Chcesz, żeby przyjechali na nasz ślub? - Delikatnie pocałował ją w usta.

- Chyba nie - odparła z wahaniem. - To stworzyłoby niezręczną sytuację. A mamie pewnie byłoby przykro. Ale gdybyś się zgodził... - Wplotła palce w jego włosy.

- Na wszystko, Gino. Przecież wiesz.

- Tak sobie myślę... Moglibyśmy pojechać w podróż poślubną do Honolulu?

Oparł się na łokciu i spojrzał jej w oczy.

- Z przyjemnością zabiorę moją żonę na Hawaje.

- Stać nas na to?

- Jasne. - Cmoknął ją w czubek nosa - raz, drugi, trzeci. - Będę harował jako doktorek dwa razy ciężiej. Zarobię dwa razy więcej szmalu.

- Jack, ja mówię poważnie!

- Ja też! - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - I jestem poważnie w tobie zakochany. Kiedy weźmiemy ślub?

- O Boże, nie wiem. Za miesiąc? Za sześć tygodni?

- Belinda będzie chciała przywieźć ci z Rzymu suknię ślubną.

- To będzie chyba kosztowne.

- Nie dla Belle. Owinęła sobie wokół palca jakiegoś projektanta.

- Marzę o tym, żeby wreszcie ją poznać. - Głos Giny leciutko zadrżał. - I wszystkich twoich bliskich.

- A ja pragnę zaprzyjaźnić się z całą twoją rodziną, Gino.

- Musnął wargami jej usta.

- Od czasu do czasu urządzimy wielki zjazd rodzinny.

- Jej serce przepełniała bezbrzeżna radość. - A naszym szczególnym świętem zawsze będą walentynki. Te ostatnie okazały się pamiętne.

- Dlaczego? - spytał z udawanym zdumieniem.

- Głuptas - powiedziała słodko. - Przecież właśnie wtedy pierwszy raz mnie pocałowałeś. Kocham cię, Jack. - Jej poważne spojrzenie było bardziej wymowne niż morze słów.

- Uda nam się, prawda?

- Na pewno - odparł, przytulając ją do siebie. - Musisz w to uwierzyć, Gino. Całym sercem.